

Ludwik Jerzy Kern  
Ferdynand Wspaniały

## I

We wtorek, zaraz po obiedzie, Ferdynand jak zwykle położył się na kanapie. Kanapa była stara i w jednym miejscu miała zagłębienie wielkości Ferdynanda. Ferdynand bardzo lubił to zagłębienie. Leżenie w nim sprawiało mu sporo przyjemności.

O tej porze w domu działy się różne ciekawe rzeczy. W kuchni podczas kąpieli rozmawiały ze sobą garnki i talerze, a od czasu do czasu wtrącały się do tej rozmowy łyżki, noże i widelce. Niby na pozór były to zwykłe brzęknięcia i stuknięcia, ale Ferdynand potrafił z nich zrozumieć prawie wszystko. Słyszał, jak półmisek mówił do widelca:

``Ty, przestań się kłuć!"

Albo jak zrozpaczona szklanka wołała:

``Gdzie jest mój mąż, spodeczek?"

W drugim pokoju pan siedząc przy stole kończył swoją poobiednią herbatę, a pani opowiadała panu o nim, o Ferdynandzie. Że Ferdynand to, że Ferdynand tamto, takie, wiecie, prywatne historie. Czasami nawet przyjemnie było posłuchać. Ale nie zawsze.

Potem było słycać szelest gazety, odgłos odsuwanej krzesła i kroki pana, które stawały się coraz głośniejsze. Jak już były straszliwie głośne, to znaczyło, że trzeba się trochę posunąć, żeby zrobić miejsce dla pana. Bo pan także lubił tę starą kanapę, tyle tylko, że wyciągał się na niej jak długi, zamiast elegancko zwinąć się w kłębek.

- Posuń się, Ferdynand! - mówił pan trącąc Ferdynanda gazetą. - No, jeszcze trochę się posuń, bo jak nie, to położę się na podłodze pod kanapą i będzie ci przykro.

Ferdynand nigdy by na coś takiego nie pozwolił, posuwał się więc troszeczkę, a pan kładł się obok niego. Od razu też zaczynały się odzywać z wnętrza kanapy sprężyny:

``Drim!"

``Giam!"

``Brdek!"

A po chwili znów, jak tylko pan się ruszył:

``Giam!"

``Brdek!"

``Drim!"

Nie muszę chyba dodawać, że również mowę sprężyn Ferdynand rozumiał znakomicie. Niekiedy nawet z nimi rozmawiał. Były to jedne z najdziwniejszych rozmów, jakie sobie można wyobrazić. Pan przeważnie szybko zasypiał, gazeta wypadła mu z rąk i bardzo często znajdowała się nagle przed nosem Ferdynanda. Chcąc nie chcąc Ferdynand zaczynał czytać. Wiecie, jak to jest: nie ma się wcale ochoty na czytanie, a ktoś wam podsunie pod nos, choćby w tramwaju, gazetę i zupełnie machinalnie zaczynacie czytać. To samo było z Ferdynandem.

Ponieważ to był wtorek, więc gazeta była wtorkowa. Gazety, jak wiadomo, dzielą się na:

poniedziałkowe,

wtorkowe,

środowe,

czwartkowe,

piątkowe,

sobotnie

i niedzielne.

Niedzielne są najgrubsze. ``Może dlatego - myślał sobie Ferdynand - że w niedzielę pan najdłużej leży na kanapie".

Więc, jak już powiedziałem, gazeta była wtorkowa i Ferdynand mimo woli zaczął ją czytać.

Najpierw zobaczył, co grają w kinach, gazeta bowiem była tak przez pana złożona, że przed nosem Ferdynanda znalazła się akurat ostatnia strona, a na ostatniej stronie każda szanująca się gazeta zamieszcza program kin. Potem przeczytał dyżury aptek. Potem repertuar teatrów. Potem prognozę pogody na jutro. Dowiedział się, o której wschodzi i zachodzi słońce i który szpital będzie dziś w nocy przyjmował tych, co zanadto się objędzą lub połkną guzik. Jak już to wszystko przeczytał, to westchnął sobie głośno i głęboko się zamyślił...

Myślał tak sobie i myślał, kiedy nagle z ust pana dobiegło pierwsze, delikatne jeszcze i ledwo uchwytnie: ``Hrrr!``. Ferdynand nastawił uszu i po chwili usłyszał następne ``Hrrr!``, już nieco mocniejsze. Nie ulegało wątpliwości - pan chciał porozmawiać z Ferdynandem. Więc Ferdynand natychmiast najgrzeczniej, jak umiał, odpowiedział panu: ``Wrrr!`` Pan znowu: ``Hrrr!``, a Ferdynand znowu: ``Wrrr!`` Pan ``Hrrr!``, Ferdynand ``Wrrr!`` I tak sobie zaczęli rozmawiać:

- Hrrr!  
- Wrrr!  
- Hrrr!  
- Wrrr!  
- Hrrr!

Aż pan wreszcie odwrócił się na bok i przerwał tę interesującą rozmowę.

Ferdynand jeszcze raz zaczął czytać gazetę od początku, ale ponieważ wszystko już wiedział, szybko mu się to znudziło i przymrużywszy oczy wpatrywał się w nogi pana, obok których właśnie leżał.

``Gdzie te nogi już nie były! - pomyślał sobie. - Takim nogom to dobrze. Chodzą, gdzie chcą. Żeby nawet odeszły jak najdalej, nikt na nie nie woła: ``Do nogi!`` Wszystko im wolno``.

Jeszcze bardziej przymrużył oczy.

``A gdyby tak... - przyszło mu nagle do głowy. - Gdyby tak wstać z tej kanapy, podejść do drzwi w przedpokoju, wyjść na schody i spróbować stanąć na własnych nogach! Na dwóch własnych nogach!``

- Ferdynandzie! - zawołał. - Jesteś wspaniały!

Powoli zsunął się z kanapy, tak żeby nie zbudzić pana i drzemiących w środku sprężyn, i cicho, cichuteńko poszedł do przedpokoju. Niestety, drzwi były zamknięte.

Ale przypadek, który jest sprzymierzeńcem wszystkich wielkich przedsięwzięć, który podróżnikom pomaga odkrywać nieznanne lądy, a wodzom wygrywać przegrane bitwy, przypadek - ta gwiazda odważnych - przyszedł również z pomocą Ferdynandowi.

Oto kiedy tak stał pod drzwiami, ze smutnie spuszczoną głową, przekonany, że nic z tego nie będzie, usłyszał na schodach znajome kroki. To był listonosz.

- Och, żeby tylko miał list do pana albo do pani - westchnął Ferdynand.

Po chwili rozległo się delikatne pukanie ołówkiem w drzwi. Pani zjawiała się bardzo szybko, otworzyła, a wtedy Ferdynand chyłkiem przeszedł pomiędzy nogami listonosza, które w ten sposób stały się dla niego łukiem triumfalnym prowadzącym w daleki świat.

Listonosz i pani tak byli zajęci, że niczego nie zauważyli. Pani zamknęła drzwi, listonosz poszedł piętro wyżej. Ferdynand został na schodach sam. Zbliżała się najważniejsza chwila.

``Po raz pierwszy w moim życiu - pomyślał Ferdynand - zejść ze schodów tak, jak trzeba. Jestem wzruszony - dodał - jestem szczerze wzruszony``.

Stanął na dwóch tylnych łapach, prawą przednią położył na poręczy i powoli, krok za krokiem, zaczął schodzić w dół.

Poszło nadspodziewanie dobrze. Z drugiego piętra na pierwsze schodził co prawda z tą odrobiną niepewności właściwą wszystkim debiutantom, ale za to z pierwszego na parter schodził już nie debiutant, ale wytrawny, pewny siebie bywalec najświetniejszych klatek schodowych.

Na parterze zaczął nawet pogwizdywać. I z tym pogwizdywaniem, które dodawało jak gdyby lekkości jego wrodzonemu wdziękowi, wyszedł na oświetloną popołudniowym słońcem, pełną ludzi ulicę.

Znał ją nie od dziś. Ale tak, jak dziś - patrzył na nią pierwszy raz. Dotychczas biegł zawsze z nosem przy ziemi, nie wiadomo dlaczego tracąc najlepsze widoki. Teraz kroczył majestatycznie, z głową

podniesioną wysoko, i nagle zobaczył wszystko to, co z całą pewnością oglądali pan i pani, kiedy wychodzili z domu. Wysokie domy, drzewa, które składały się nie tylko z samych pni, ale miały jeszcze w górze liściaste korony, latarnie zakończone mlecznymi lampami i błękitne niebo, po którym przesuwały się pierzaste obłoki.

Ulicą jechały tramwaje, autobusy i samochody, a chodnikami szli przechodnie. Jedno, co trochę zastanowiło Ferdynanda, to to, że niektórzy jakby się troszkę za nim oglądali. Przystanął przed kwiaciarnią, obok której wisiało wielkie lustro. Przyjrzał się sobie z jednej i drugiej strony.

- Taaak! - powiedział. - Rozumiem. Muszę natychmiast iść do krawca.

Ii

Krawców w tym mieście było wielu. Którego wybrać? Ferdynand nie miał w tych sprawach żadnego doświadczenia. Jeszcze nigdy w życiu nie szył sobie ubrania. Szedł więc, wyprostowany, z głową zadartą do góry i rozglądał się po sztydach. Wreszcie przy jakiejś bramie zobaczył małą, skromną tabliczkę:

``Pierwszorzędny zakład krawiecki M. Dogg``

- Przynajmniej jakieś ludzkie nazwisko - mruknął - tyle, że dziwnie pisane. Kto wie zresztą, może to nawet i ładnie brzmi? - zaczął się zastanawiać. - Bądź co bądź takie dwa ``g`` na końcu wyglądają wytwornie. Gdyby tak sobie dodać gdzieś jakąś literę... Na przykład ``Ferdynandd`` albo ``Ferrdynand``, albo ``Feerdynand``, albo ``Fferdynand``, albo ``Ferddynand``, albo ``Ferdyyndand``, albo ``Ferdynnand``, albo ``Ferdynaand``, albo ``Ferdynannd``, albo całkiem po prostu ``Ffeerrddyynnaanndd``. Trzeba by to kiedyś wypróbować na papierze - postanowił Ferdynand - zobaczymy, jak to wygląda napisane. Bez tego nie można nic postanowić. Jak będę miał chwilę wolnego czasu, to się tą sprawą zajmę.

Wszedł do bramy, znalazł wejście do zakładu krawieckiego, mimo woli obwąchał drzwi, a potem nacisnął dzwonek.

``Najważniejsza rzecz - pomyślał sobie - to powiedzieć: Dzień dobry! Jak uda mi się powiedzieć: Dzień dobry! - to dalej już jakoś pójdzie``. - Był pewien, że potrafi to powiedzieć, a jednak miał w sercu odrobinę niepokoju.

Drzwi otworzył pan Dogg osobiście. Gdy zobaczył Ferdynanda nonszalancko opartego o framugę, ściągnął z łysogo czoła okulary i nerwowo umieścił je na nosie. Pytające spojrzenie krawca zmusiło Ferdynanda do czynu.

- Dzień do-bry pa-nu - powiedział bardzo powoli, lecz zdecydowanym głosem.

- Dzień dobry - z przyzwyczajenia odpowiedział krawiec. Zawsze odpowiadał: ``Dzień dobry``, jeśli tylko ktoś inny mówił do niego: ``Dzień dobry``.

- Chciał-bym za-mó-wić u pa-na u-bra-nie - powiedział Ferdynand.

- Czy pan ma na myśli siebie? - zapytał krawiec.

- O-czy-wiś-cie - odparł Ferdynand. - Tak się bo-wiem dziw-nie zło-ży-ło, że wy-szed-łem dzi-siaj z do-mu bez u-bra-nia, a nie chce mi się wra-cać.

- Jestem zawalony robotą... - powiedział krawiec. - Musiałbym wszystko odłożyć...

- Niech pan to dla mnie zro-bi! - zawołał Ferdynand i swoimi wiernymi oczami spojrzał w zmęczone oczy krawca. Jednocześnie stwierdził, że mówi coraz płynniej.

Krawiec był wyraźnie wzruszony. Otworzył szerzej drzwi i powiedział:

- Pan będzie łaskaw wejść do salonu.

Jeszcze żaden klient nie zrobił na nim tak dobrego wrażenia, jak ten. Spojrzenie Ferdynanda uczyniło go miękkiem jak wosk. Wskazał Ferdynandowi wygodny fotel, a sam stanął obok, nerwowo bawiąc się dwoma końcami centymetra, który miał zawieszony na szyi.

- Jaki to ma być garnitur? - zapytał uprzejmie.

- Ładny - odparł bez wahania Ferdynand.

- Rozumiem - powiedział pan Dogg. - A z jakiego materiału?

- Z ładnego - po chwili zastanowienia odrzekł Ferdynand.

- A jak go uszyjemy?

- Ładnie.

- A kamizelka jaka będzie?

- Ładna.

- A spodnie?

- Ładne.

- A klapy?

- Ładne.

- A z jakim mankietem zrobimy spodnie?

- Z ładnym.

- A jaką damy podszewkę?

- Ładną.

Pan Dogg był uszczęśliwiony. Pierwszy raz zdarzyło mu się spotkać klienta, który by tak dobrze wiedział, czego chce.

- Z największą przyjemnością uszyję panu ubranie! - zawołał. - Zaraz weźmiemy miarę. Proszę łaskawie wstać i stanąć prosto.

Ferdynand wstał, a pan Dogg zaczął go mierzyć centymetrem we wszystkie strony. Kiedy skończył, znów podsunął Ferdynandowi fotel.

- Ma pan tutaj całą masę różnych pism i żurnali. Proszę sobie przeglądać, a ja tymczasem skoczę do pracowni i skroję pański garnitur. Za dziesięć minut zrobimy przymiarke.

Pan Dogg wyszedł, a Ferdynand zaczął od niechcenia przerzucać żurnale i tygodniki. Ale myśl, że już niedługo będzie miał własne, specjalnie dla siebie uszyte ubranie, nie pozwalała mu się skupić.

Obojętnym wzrokiem patrzył na fotografie zamieszczone w pismach, bo chociaż przedstawiały one rzeczy naprawdę niezwykle i ciekawe, to jednak były niczym w porównaniu z jego własnym ubraniem. Z prawdziwym ubraniem uszytym u prawdziwego krawca.

Nim minęło dziesięć minut, pan Dogg zjawił się z powrotem.

- Czy zechce pan przymierzyć? - zapytał.

Kto by nie chciał przymierzyć? Przecież to wielka przyjemność włożyć na siebie takie coś.

Ferdynand stanął przed lustrem, a pan Dogg pomógł mu się ubrać w to, co ze sobą przyniósł. Nie była to jeszcze marynarka, ale także nie był to już sam materiał. Był to pewien kształt, który miał sobą wypełnić Ferdynand. Ten kształt zostanie dopasowany do Ferdynanda. On, Ferdynand, nada mu ostateczny fason.

- Spodni nie będziemy mierzyć - stwierdził kategorycznie pan Dogg. - Mam spodniarza, który się nie myli.

Ferdynand był zachwycony.

- Zupełnie słusznie - powiedział. - Po co mierzyć spodnie...

- Całkiem nieźle, całkiem nieźle... - mrucał pan Dogg, upinając na Ferdynandzie marynarkę. Usta miał pełne szpilek, dlatego też mówił jakby przez zęby. - Tu jeszcze trochę zbierzemy, tam popuścimy i będzie w porządku. Czy nie uciska pana pod pachami?

- Troszeczkę.

- Zaraz to poprawimy.

- Auuuuuuu! - zawył z bólu Ferdynand.

- Najmocniej pana przepraszam. To te okropne szpilki. Czy bardzo pana bolało?

Ferdynand uśmiechnął się niewyraźnie, co miało oznaczać, że owszem, bolało, ale nic nie szkodzi. Zresztą czym było takie głupie ukłucie w porównaniu z odbiciem, które teraz widział przed sobą w lustrze? Mimo że marynarka była zaledwie sfastrygowana i pospinana szpilkami, wyglądało to cudownie. Ferdynand sam siebie nie mógł poznać.

- Czy to ja, czy to nie ja? - zastanawiał się po cichu. A głośno dodał: - Właściwie, proszę pana, to mógłbym już tak, jak teraz, wyjść na ulicę.

- W takim stanie nie wypuściłbym pana stąd za żadne skarby - odpowiedział stanowczo pan Dogg. - Zobacz pan, jak to będzie wyglądało w całości. Niech pan będzie cierpliwy, drogi panie... drogi

panie...

- Ferdynandzie - odpowiedział Ferdynand.

- O, właśnie - pan Dogg odstał dwa kroki do tyłu. - Piękne imię! - powiedział z zachwytem. A potem już normalnym tonem: - Więc niech pan będzie cierpliwy, drogi panie Ferdynandzie, a ja postaram się zrobić to jak najszybciej.

To mówiąc zdjął z Ferdynanda przysłą marynarkę i zniknął w drzwiach pracowni.

Rzeczywiście nie trwało to zbyt długo. Ferdynand zdążył parę razy przejść się przez salon, parę razy wyjrzeć przez okno na ulicę i parę razy ziewnąć ze zdenerwowania, a już pan Dogg był z powrotem z gotowym ubraniem.

Ferdynand przebrał się za parawanem. Kiedy stamtąd wyszedł, pan Dogg zatarł z zadowoleniem dłonie.

- Panie Ferdynandzie! - zawołał. - Wygląda pan rewelacyjnie!

Ferdynand spojrział w lustro i oniemiał. Wiedział, że to będzie wspaniałe, ale nie przypuszczał, że aż do tego stopnia. Popatrzył głęboko w oczy pana Dogga i rzekł:

- Ogromnie się sobie podobam, panie Dogg. - A potem zaraz dodał: - Pan, panie Dogg, jest królem krawców.

Pan Dogg z wdzięcznością przyjął komplement.

- Jeśli mi wolno panu coś poradzić - szepnął nachyliwszy się nad lewym uchem Ferdynanda - to koszula do tego garnituru najlepsza byłaby w prążki.

- Prawda! - wrzasnął Ferdynand. - Na śmierć zapomniałem o koszuli.

- Do koszuli w prążki radziłbym krawat w paski - ciągnął dalej pan Dogg.

- Tak, tak, krawat musi być w paski - zgodził się Ferdynand.

- Co zaś do kapelusza, to najodpowiedniejszy, moim zdaniem, byłby chyba melonik.

- Wie pan, że sam o tym myślałem! - zawołał Ferdynand.

- Należałoby także... - tu pan Dogg całkiem ściszył głos. - Należałoby pomyśleć o czymś na nóżki.

- No właśnie, że też mi to wcześniej nie przyszło do głowy.

- Jeśli pan pozwoli, to zadzwonię do miasta i zaraz to wszystko przysła.

- Kiedy... - zaczął niepewnie Ferdynand.

- Niech pan nic nie mówi - przerwał mu krawiec - wiem, co pan chce powiedzieć. Chce pan powiedzieć, że nie ma pan przy sobie pieniędzy. Nic nie szkodzi. Nie chodzi o pieniądze. Pańska wdzięczność, pańskie zadowolenie sprawią mi o wiele większą radość niż największa nawet suma pieniędzy. Proszę więcej o tym nie wspominać. Panie Ferdynandzie, pan jest wspaniały.

Z ogromnym trudem udało się Ferdynandowi opanować, żeby nie zaskowytać ze szczęścia i nie zacząć machać ogonem. Zamiast tego najładniej, jak potrafił, podał panu Doggowi łapę.

Iii

Najpiękniejszą ulicą w mieście, przystając sobie od czasu do czasu przed wystawai sklepów, siedł elegancki pan. Nowiuteńkie ubranie ślicznie na nim wyglądało. Przechodnie patrzyli na niego z podziwem, a on mijając ich uśmiechał się z wrodzonym sobie wdziękiem. Odślaniał przy tym swoje białe zęby, ale tylko trochę, tyle, ile trzeba. Kiedy doszedł do końca ulicy, przeszedł na drugą stronę i zaczął iść w przeciwnym kierunku. Lekki, podrygujący, szczęśliwy. To był Ferdynand.

Już piąty albo szósty raz siedł wzdłuż tej ulicy. Nie ma się czemu dziwić. Jeśli ktoś po raz pierwszy w życiu ma na sobie nowe ubranie, to chciałby w nim chodzić tylko po najpiękniejszej ulicy miasta. Jednak każda najpiękniejsza ulica, choćby była najdłuższa, gdzieś tam się kończy. Ferdynand, spostrzegłszy to, miał do wyboru albo skręcić w jakąś przecznicę, albo zawrócić i iść jeszcze raz tą samą drogą. Wybrał to drugie. W ten sposób doszedł do przeciwnego końca najpiękniejszej ulicy. Znow nie chciał skręcić w bok i znow zawrócił. A potem jeszcze raz. I jeszcze raz. I teraz właśnie siedł tą ulicą po raz piąty czy szósty.

Wydawać by się mogło, że to nic trudnego tak sobie spacerować tam i z powrotem. Nie jestem tego zdania. W przypadku Ferdynanda był to wielki wyczyn. Pomyślcie tylko, ile pokus czyhało na niego na każdym kroku. Po pierwsze: ulica wysadzana była drzewami, i to po obu stronach; po

drugie: co kilkadziesiąt metrów była latarnia, a po trzecie (i to było najgorsze!): nagle ni stąd, ni zowąd przebiegały ulicę - koty. Kiedy pierwszy kot wypadł z bramy prosto pod nogi Ferdynanda, z Ferdynandem coś się stało. Chciał się rzucić natychmiast za nim i tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymał się od tego. Żeby się uspokoić, stanął sobie przed okrągłym słupem z afiszami. Widząc to, kwiaciarka, która przy słupie sprzedawała kwiaty, powiedziała do gazeciarki siedzącej wewnątrz słupa:

- Popatrz, pani, jakie dziś ludzie są przesądne. Kot takiemu przebiegnie drogę, to on nie pójdzie kroku dalej, tylko udaje, że afisz opery czyta.

``To o mnie - pomyślał Ferdynand. - No, żeby nie ubranie, już ja bym temu kotu pokazał!"

Ale trochę było mu głupio, że uważano go za przesądnego.

- Chciałbym panią zapewnić - zwrócił się do kwiaciarki - że co do kotów, to ani trochę nie jestem przesądny.

- Każdy tak mówi, panie szanowny - odpowiedziała kwiaciarka - a jak co do czego przyjdzie, to staje, robi trzy kroki do tyłu albo odkręca się przez lewe ramię, żeby tylko czary odegnąć.

- Widzę, że pani mi nie wierzy, ale to, co powiedziałem, to prawda. Nie tylko, proszę pani, nie cofam się przed kotami, ale powiem pani w sekrecie, że uwielbiam je gonić.

- Co pan powie? - mruknęła z niedowierzaniem kwiaciarka. - Nie wygląda pan na takiego szybkobiegacza.

- A na co wyglądam? - zapytał Ferdynand.

- Wygląda pan na lalusia, co się z nudów po ulicy włóczy. Pani Biskupska - zwróciła się do gazeciarki - powiedz pani, czy on nie jest wspaniały?

Pani Biskupska wychyliła się aż do połowy przez okienko swojego kiosku, przyjrzała się Ferdynandowi, pokiwała głową i powiedziała:

- A wie pani, pani Trybulska kochana, że jest! Faktycznie jest wspaniały jak rzadko!

Ferdynand szybko zdjął melonik i uroczyście powiedział:

- Dziękuję kochanym paniom za tak miłe słowa. Z całego serca paniom dziękuję. Do widzenia paniom!

- Chwileczkę! - zawołała pani Biskupska. - Lubię grzecznych. Weź pan na pamiątkę ten drobiazg - to mówiąc wyciągnęła z napełnionej wodą blaszanki różowy goździk i włożyła go Ferdynandowi w butonierkę.

Z goździkiem w klapie marynarki Ferdynand poszedł dalej, a pani Trybulska z panią Biskupką patrząc za nim powtarzały:

- Wspaniały! Daję słowo, że wspaniały!

Potem jeszcze parę innych kotów przebiegło Ferdynandowi drogę, ale każdy z nich robił na nim coraz mniejsze wrażenie. Ferdynand czuł, że jest już na koty uodporniony. Żeby nagle na jego drodze zjawił się cały orszak kotów albo żeby spotkał się oko w oko z najszlachetniejszym kotem na świecie, z legendarnym Złotym Kotem, o którym, kiedy był niegrzeczny, opowiadała mu w dzieciństwie matka - to przeszedłby obok nich obojętnie, nawet nie zawarczawszy.

``Jak tak dalej pójdzie - pomyślał sobie - to dojdzie do tego, że najpierw zacznę koty lubić, potem nie będę mógł bez nich żyć, a w końcu zacznę je sam hodować. Kto wie, może to jest i przyjemne mieć w mieszkaniu własnego kota? - rozmyślał idąc któryś tam raz wzdłuż najpiękniejszej ulicy. - W każdej chwili można go pogłaskać. A jak się kota głaszcze, to kot mruczy. To musi być bardzo miłe takie: Mrrrrrrrrrrrrrrrr - na każde zawołanie. W ogóle, co tu dużo gadać, kot to bardzo porządne zwierzę. Siedzi w domu, nie włóczy się po próznicy, a co do czystości, może być wzorem dla wielu innych stworzeń".

- Wydaje mi się, że koniecznie powinienem mieć własnego kota - powiedział półgłosem.

Gdyby istniały sklepy z kotami, Ferdynand natychmiast by do takiego sklepu wszedł i kazałby sobie zapakować kota, który by mu się najbardziej podobał. Nie jest wykluczone, że kupiłby od razu dwa koty, bo wiadomo przecież, że jeden kot źle się chowa. Poza tym dwa koty w mieszkaniu wyglądają o wiele poważniej, nie mówiąc już o tym, że i kotom jest raźniej we dwoje.

- Naturalnie, trzeba by im nadać jakieś imiona. W odpowiednim czasie wymyślę dwa piękne imiona dla moich kotów - powiedział Ferdynand sam do siebie. - Muszą się nazywać zupełnie inaczej niż

wszystkie koty. Na razie chce mi się jeść.

To była prawda. Od śniadania Ferdynand nic nie miał w ustach. W dodatku to nieustanne spacerowanie okropnie go zmęczyło. Nowy sposób chodzenia, do którego zdążył się już zresztą całkowicie przyzwyczaić, okazał się w praktyce o wiele bardziej męczący niż ten dawny. Dawniej mógłby taką najpiękniejszą ulicę przelecieć w obie strony ze dwadzieścia razy i zanadto by się nie zmęczył. Najwyżej wywiesiłby język, i już. A dziś? O, to nie było to samo! Okazało się, że wolne, eleganckie chodzenie bardziej wyczerpuje niż bieganie na czworakach. Brzmi to nieprawdopodobnie, a jednak tak jest i na to nie ma rady.

Przy najpiękniejszej ulicy było wiele restauracji i jadalni, w których zgłodniały ludzie mogli się pożywić i nabrać sił. Każdy wybierał taką, jaka mu najbardziej odpowiadała. Ale Ferdynand był znowu w kłopotcie. Do której wejść? Nie miał najmniejszego pojęcia. W tej sytuacji postanowił kierować się starą, wypróbowaną metodą, mianowicie - węchem.

Przechodząc obok restauracji, pociągał mocno nosem, potem gwałtownie wypuszczał całe powietrze i jeszcze raz głęboko wciągał je do płuc. Wraz z powietrzem dostawały się do jego nosa zapachy charakterystyczne dla danej restauracji.

- O nie, tutaj nie wejdziemy - mrucał. - Za nic na świecie nie wejdziemy tutaj! Czuję kapuśniak. Od dzieciństwa nie znoszę kapuśniaku. Dziękuję ci, mój kochany nosie, za to ostrzeżenie! I szedł dalej. Przy następnej restauracji znowu przystawał, robił kilka porządných wdechów, zastanawiał się chwilę i mówił:

- I tutaj także nie wejdziemy! Jestem przekonany, że kucharz w tej restauracji uważa przypaloną kaszę za największy przysmak wszystkich czasów. Nienawidzę kaszy w ogóle, a jeszcze bardziej nienawidzę kaszy przypalonej. Nosie mój cudowny, składam ci hołd.

Jak gdyby nigdy nic, obojętnym krokiem spacerowicza odchodził od tej restauracji, o której jego nos wystawił tak złą opinię, i szukał innej.

Przy którejś tam z kolei zdawało mu się, że wreszcie trafił. Przyjemny zapach pieczonej wołowiny sprawił, że już, już chciał nacisnąć klamkę i wejść do środka, ale kiedy się dokładniej wwąchał, stwierdził, że prócz pieczonej wołowiny pachnie również ogórkową zupą. Zupa ogórkowa to było jedno z jego najgorszych wspomnień. Kiedyś niechcący wylał cały talerz ogórkowej zupy na dywan. Tak, to prawda, że wspiał się łapami na stół. Ale wcale nie po ogórkową zupę, lecz po parówkę, która obok niej leżała. Pech chciał, że przysuwając parówkę potracił ten przeklęty talerz. Parówka została na stole, a talerz z zupą znalazł się na dywanie. Talerz zabił się na miejscu. Przed śmiercią zdążył tylko powiedzieć: ``Brzdęk!'' i już nie żył. Zupa z rozpaczy po nim rozlała się po całym dywanie. Pan nie chciał słuchać żadnych usprawiedliwień Ferdynanda i okazał się człowiekiem bezlitosnym. Nawet nie bardzo bolało, ale odtąd Ferdynand na wspomnienie ogórkowej zupy dostawał gęsiej skórki.

- Wołowina wołowiną - powiedział do siebie - a zupa ogórkowa zupą ogórkową. Nikt mnie na to nie nabierze. Chwała ci, mój nosie, że odkryłeś niebezpieczeństwo. Chętnie bym cię pocałował, gdybym tylko mógł się pocałować we własny nos.

Nos Ferdynanda godzien był tego bez wątpienia. Dowiódł tego zresztą za chwilę, gdy wśród wielu wypełniających ulicę zapachów wyłowił nagle urzekający swoim pięknem ledwo, ledwo jeszcze na razie wyczuwalny, oszałamiający zapach sztuki mięsa. To był jego ulubiony przysmak. Ferdynand skupił się, zdobył pewność, skąd zapach płynie, i powiedział:

- Nosie, prowadź!

Nosowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Nos również był bardzo głodny. Ruszyli naprzód. Zapach stawał się teraz z każdą sekundą mocniejszy. Nos przeszedł na drugą stronę ulicy, a zaraz za nim Ferdynand, ponieważ okazało się, że zapach ten właśnie stamtąd płynie. Zatrzymał się przed wielkimi, oszklonymi drzwiami. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że to właśnie zza tych drzwi zapach ten się wydobywał. Tak, byli na miejscu. Ferdynand mimo woli zadarł głowę do góry. Nad drzwiami wielkimi neonowymi literami było wypisane ``jak u mamy''.

- Nie mogliśmy lepiej trafić, mój nosie! - powiedział Ferdynand.

- Co tam jest napisane? - zapytał nos.

- Prawda - krzyknął Ferdynand. - Zapomniałem, że ty nie umiesz czytać. ``Jak u Mamy''.

Nos aż kichnął z zadowolenia.

- Bardzo ładny napis, Ferdynandzie. Wchodzimy.

Ferdynand poprawił goździk w klapie, wypiął dumnie pierś do przodu i przez wielkie, szklane drzwi, puszczając nos przodem, wszedł do środka.

Iv

Prawie wszystkie stoliki były zajęte. Ferdynand kroczył przez całą salę, patrząc, gdzie by tu można usiąść. Nikt na niego nie zwracał uwagi. Wszyscy zapatrzeni byli w swoje talerze. Pomiedzy stolikami bezszelestnie przesuwali się ubrani na czarno kelnerzy, którzy na srebrnych tacach roznosili jedzenie. Ferdynandowi bardzo się tu podobało.

Z boku, pod ścianą, zauważył wolny stolik. Spokojnym krokiem zbliżył się do niego, odsunął trochę krzesło i poskramiając w sobie nagłą chęć wskoczenia na nie, siadł najnormalniej w świecie. Rozejrzał się po sali. Tuż obok niego, przy sąsiednim stoliku, siedział jakiś starszy pan i czekając na zamówione jedzenie, czytał wieczorną gazetę. Nieco dalej rodzina złożona z ojca, matki i trojga dzieci jadła pachnące zabójczo naleśniki z wiśniową konfiturą. Z tyłu, za nim, dwie damy kończyły właśnie pałaszować pieczonego kurczaka, a w kącie, na lewo od Ferdynanda, pani w zielonym kapeluszu, jedząc flaczki, co jakiś czas odrywała kawałek bułki i wrzucała pod stół nakryty długą, sięgającą prawie do podłogi serwetą. Ferdynanda bardzo to zaciekało.

- Czym mogę panu służyć? - usłyszał nagle nad uchem. Spojrzał i zobaczył przed sobą zgiętego w półukłonie kelnera. Wydał mu się bardzo sympatyczny.

- Chciałbym, proszę pana, coś zjeść. Ale, wie pan, coś takiego pierwszorzędnego.

- Proszę uprzejmie - odpowiedział kelner. - Pan będzie łaskaw wybrać sobie coś z karty. - Mówiąc to wręczył mu długi spis potraw, które podawali w "Jak u Mamy".

Ferdynandowi aż dusza podskoczyła z radości. "Pan będzie łaskaw... Proszę uprzejmie..." Nie! Nikt jeszcze tak do Ferdynanda nie mówił.

"Trzeba będzie zrewanżować się temu grzecznemu panu i tak samo grzecznie do niego mówić" - pomyślał sobie Ferdynand. I natychmiast głośno powiedział:

- Proszę uprzejmie, żeby pan był łaskaw podać mi uprzejmie łaskawą i uprzejmą sztukę mięsa.

- Uprzejmie panu w tej chwili służę. Pan będzie łaskaw momencieczekaczka - powiedział kłaniając się kelner.

- Uprzejmie panu dziękuję - odparł Ferdynand również pochylając głowę. - Chętnie sobie łaskawie zaczekam.

Kelner się oddalił, a Ferdynand popadł w zadumę. Ocknął się z niej dopiero, gdy usłyszał podniesiony głos starszego pana, siedzącego przy stoliku obok.

- Co pan mi podał?! - krzyczał starszy pan. - To ma być sztuka mięsa? To są same gnaty!

Ferdynand rzucił dyskretnie okiem na talerz stojący przed starszym panem. Rzeczywiście, na talerzu obok niewielkiej ilości mięsa leżały przepiękne kości, takie, jakie się czasem widuje tylko w snach. Obok, ze smutnie spuszczoną głową, stał kelner, ten sam, który tak bardzo przypadł Ferdynandowi do serca. Zrobiło mu się ogromnie żal tego kelnera. Wstał i podszedł do stolika starszego pana.

- Jeśli pan pozwoli - powiedział - to ja zjem tę sztukę mięsa, którą panu podano. Ja również zamówiłem to samo danie, może moje będzie panu bardziej odpowiadało...

- Czy pan oszalał?! - zawołał starszy pan. - Gnaty pan będzie jadł?

- Proszę się o mnie nie martwić, dam sobie radę - odparł Ferdynand.

- Ależ, proszę pana, to są przecież same kości!

- Nic nie szkodzi. Bardzo lubię.

- Co pan lubi?

- Kości.

- Jakie?

- Właśnie takie.

- Takie, jak te na talerzu? - pytał starszy pan z niedowierzaniem.



- Owszem, takie też.

- Ale, przecież pan tego nawet nie ugryzie.

- To jest tylko sprawa przyzwyczajenia, proszę pana - powiedział Ferdynand. - Jak się ktoś od małego przyzwyczai...

- Czy chce pan przez to powiedzieć - przerwał mu starszy pan - że w dzieciństwie jadał pan kości?

- Pierwszą kość dostałem, kiedy miałem pięć miesięcy, a przedtem kilka razy jadłem po kryjomu. Starszy pan przyjrzał się dokładniej Ferdynandowi.

- Tak dobrze pan pamięta? - spytał.

- O, proszę pana, są rzeczy, o których się nie zapomina - odrzekł nieco sentymentalnie Ferdynand.

- I naprawdę chce pan to zjeść?! - wykrzyknął starszy pan wskazując na swój talerz.

- Zaraz pan zobaczy - odrzekł Ferdynand. - Pan będzie łaskaw - powiedział do kelnera - przenieść łaskawie talerz tego pana na mój stolik, a panu proszę uprzejmie przynieść moją porcję.

- Po co przenosić? - wtrącił się starszy pan. - Czy nie lepiej by było, gdyb pan przysiadł się do mego stolika? Jeśli panu to odpowiada, to bardzo proszę.

Starszy pan podniósł się i wyciągnął rękę.

- Nazywam się Radio. Augustyn Radio. Nazwisko mam, jak pan widzi, zabawne. Często znajomi i przyjaciele zapytują mnie dla dowcipu: ``Co słyhać, panie Radio?" A ja im dla dowcipu odpowiadam: ``Nic nie słyhać, bo jestem dzisiaj wyłączony".

- Bardzo mi miło poznać pana, panie Radio - powiedział Ferdynand. - Ja nazywam się Ferdynand. Z przyjemnością usiądę przy pańskim stoliku.

Kelner, który cały czas przysłuchiwał się tej rozmowie, pędem pobiegł do kuchni i po chwili zjawił się z nową sztuką mięsa. Postawił ją przed panem Radio, a Ferdynandowi podsunął ten talerz, który już przedtem stał na stole.

- Bardzo mi przykro - powiedział pan Radio zabierając się do jedzenia - że ja jem pańską porcję, a pana czeka mordowanie się z tymi gnatami.

- Niech pan będzie spokojny. Zjem prędzej niż pan.

- O, co to, to chyba niemożliwe! - zawołał pan Radio.

- No, to zaczynajmy! - powiedział Ferdynand. - Raz, dwa iiiiiiiiii trzy!

Złapał w zęby największą kość, ułożył ją sobie dobrze między szczękami i ścisnął. Zazgrzytało, zatrzeszczało, pan Radio ledwo zdążył krzyknąć: ``Szkoda zębów, panie Ferdynandzie!" - i już tej największej kości nie było. Potem to samo stało się z nieco mniejszą kością, a trzecią, najmniejszą, Ferdynand zostawił sobie na deser.

Pan Radio patrzył na to szeroko otwartymi oczami i z podziwu kiwał głową. Przy sąsiednich stolikach wszyscy przestali jeść. Od początku istnienia ``Jak u Mamy" nie widziano czegoś takiego. Ojciec dzieci, tych, co to jadły naleśniki z wiśniami, wskazując na Ferdynanda powiedział:

- Oto, moje kochane, wspaniały dla was przykład! Tak się powinno jeść, a nie tak, jak wy to robicie. Głupich naleśników nie potraficie porządnie pogryźć, a ten pan kości gryzie. Brawo, proszę pana! - krzyknął w stronę Ferdynanda. - Bijcie, dzieci, brawo temu panu.

Dwie damy, które akurat uporały się z kurczakiem, widząc zachowanie się Ferdynanda, z przerażeniem spojrzały na stos kostek na talerzach. ``Może tak nie wypada? - pomyślały sobie. - Może teraz jest taka moda, że kości też się zjada?" I nieznacznie sięgnęły po najmniejsze kosteczki, żeby spróbować, czy da się je w ogóle ugryźć.

Ale najbardziej wstrząśnięta była pani w zielonym kapeluszu, ta, która jadła flaczki i co jakiś czas wrzucała pod stół po kawałeczku bułki.

- Wyjdź stamtąd, Krokodylku! - zawołała zaglądając pod serwetę. - Wyjdź, Krokodylku, wyjdź! Zawstydzisz się, jak zobaczysz. Tobie trzeba bułeczkę po kawałku drobić, a pan kostki sobie chrupie jak gdyby nigdy nic. No, popatrz, Krokodylku, popatrz tylko!

Mówiąc to wyciągała spod stołu długą smycz, na końcu której ukazał się wreszcie mały, czarny ratlerek. Wzięła go na ręce i podniosła do góry, tak jak rodzice podnoszą dzieci, kiedy na defiladzie przejeżdża generał.

- Krokodylku, popatrz tam. Na tego pana w tym ładnym nowym ubraniu. To musi być ktoś bardzo wybitny.

Ratlerek zajazgotał z uciechy swoim cienkim głosikiem. Ferdynand nastawił uszu. Miał ogromną ochotę odszczeknąć, ale się pohamował. Zamiast tego powiedział tylko:

- O, jaki śliczny piesek! - I rzucił w jego stronę tę trzecią, najmniejszą kostkę, którą sobie zostawił na deser. Niestety, Krokodylek był gapą i nie złapał jej, kiedy przelatywała mu obok nosa.

- Nie udało się tym razem - powiedział z uśmiechem Ferdynand. - Zaraz ci pokażę, jak to się robi. Niech ktoś z państwa łaskawie rzuci coś w moją stronę.

Pani w zielonym kapeluszu rzuciła kawałek bułki. Nie ruszając się ze swego miejsca, Ferdynand otworzył usta i bułka natychmiast w nich zniknęła.

- Pan jest wspaniały! - zawołała pani w zielonym kapeluszu. - Patrz, Krokodylku, jaki pan jest wspaniały!

Wszyscy jej przytaknęli i zaczęli na wyścigi rzucać w kierunku Ferdynanda różne przysmaki. A on jak sztukmistrz w cyrku wszystko wychwytywał z nieomylną precyzją. W przerwach mówił do Krokodylka:

- O, widzisz, tak się łapie ciastko... A tak się łapie czekoladę... A tak się łapie pierożek... A tak się łapie pierniczek... Jak będziesz miał czas, to przyjdź do mnie, a ja cię nauczę jeszcze wielu innych rzeczy.

Powiedziawszy to spojrzał po sali szukając kelnera.

- Chciałem panu zapłacić! - zawołał.

- Nigdy na to nie pozwolę! - zaprotestował pan Radio. - Panie Ferdynandzie, był pan moim gościem. - I zapłaciwszy rachunek dodał: - Pozwoli pan, że wyjdę razem z panem?

- Oczywiście, panie Radio. Z rozkoszą pójdę w pańskim towarzystwie.

Kiedy szli ku drzwiom przez wielką salę "Jak u Mamy", odprowadzały ich zdumione spojrzenia gości i pełne podziwu oczy kelnerów. A potem, kiedy już drzwi się za nimi zamknęły, przy wszystkich stolikach i w kuchni, i w spiżarni, i w bufecie, i nawet w szatni zaczęto na wszelkie możliwe sposoby wymawiać z zachwytem imię: Ferdynand.

## V

- Co pan teraz ma zamiar robić? - zapytał Ferdynanda pan Radio, kiedy już znaleźli się na ulicy.

- Wie pan - odparł Ferdynand - że nie bardzo się nad tym zastanawiałem.

- To znaczy, że ma pan wolny czas?

- Mam wrażenie, że tak.

- Dla pewności niech pan zajrzy do notesu - powiedział pan Radio.

- Do czego?

- Do notesu. Chyba ma pan notes?

- Nanananaturalnie - zaczął się jękać Ferdynand.

- Według mnie - ciągnął pan Radio - człowiek bez notesu to nie człowiek. A w każdym razie nie porządny człowiek. Porządny człowiek, panie Ferdynandzie powinien mieć notes.

- Oooczywiście - potwierdził Ferdynand.

- Na człowieku, który posiada notes, można polegać. Ci, którzy notesów nie mają, zdani są wyłącznie na własną pamięć. A pamięć ludzka jest zawodna, panie Ferdynandzie, jakże zawodna. Zgadza się pan ze mną czy nie?

- Jajajajasne, że się zgadzam...

- Więc niech pan, z łaski swojej, zajrzy do notesu i niech pan sprawdzi, czy aby na pewno ma pan wolny czas?

- Z całą pewnością mam wolny czas - powiedział Ferdynand i położył rękę na sercu.

- Co panu szkodzi, niech pan zajrzy do notesu - nalegał pan Radio.

"Ale uparciuch!" - pomyślał sobie Ferdynand, a głośno dodał: - Przysięgam panu na moją babcie, że nie mam w tej chwili nic do roboty.

- Proszę to zrobić dla mnie, panie Ferdynandzie - proszącym głosem nalegał pan Radio. - Proszę zajrzeć do notesu.

Ferdynand zaczął grzebać w lewej kieszeni marynarki, wiedząc z góry, że grzebanie nie może

przynieść żadnego rezultatu. Istotnie, kieszeń była idealnie pusta. Potem pogrzebał w prawej kieszeni marynarki. Potem w lewej kieszeni spodni. Potem w prawej kieszeni spodni. Potem w tej kieszeni, co jest na spodniach z tyłu. Potem w tej kieszeni, co jest w marynarce od strony podszewki. I wreszcie w tej małej kieszonce, po lewej stronie u góry, w której nosi się ołówki, wieczne pióra albo chusteczkę dla elegancji. Wszystkie kieszenie były jednakowo puste.

- Widzę, że nie może pan znaleźć swego notesu - powiedział pan Radio.
- Nie mam pojęcia, co się z nim stało - skłamał Ferdynand i od razu zrobiło mu się głupio przed samym sobą, że kłamie. - Widocznie musiałem go gdzieś zapodziać.
- Może zostawił go pan na biurku wychodząc z domu...
- Możliwe - odpowiedział Ferdynand, chociaż był święcie przekonany, że od urodzenia nie posiadał w swoim majątku biurka.
- Albo został w innym ubraniu...
- To też nie jest wykluczone - przytaknął Ferdynand, mimo iż wiedział, że ubranie, które ma na sobie, jest jedynym jego ubraniem.
- Boję się tylko, czy pan go nie zgubił - ze szczerą troską w głosie powiedział pan Radio.
- O zgubieniu nie ma mowy - odparł Ferdynand - jeszcze nigdy nic nie zgubiłem - dodał z radością. Była to pierwsza prawda, którą powiedział od dłuższego czasu. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości: mówienie prawdy sprawiało Ferdynandowi zdecydowaną przyjemność.
- Czy mogę panu coś zaproponować? - zapytał pan Radio.
- Ależ oczywiście, proszę pana.
- Mam nadzieję, że odnajdzie pan swój dotychczasowy notes, do którego, jak mi się zdaje, musi pan być ogromnie przywiązany...

``Tereferekuku" - pomyślał sobie w duchu Ferdynand.

- ... ale nim to nastąpi - ciągnął swoją myśl pan Radio - na pamiątkę naszego miłego spotkania chciałbym panu ofiarować w prezencie mały, skromny notesik. Czy zgadza się pan na moją propozycję?

- Sprawi mi pan wielką przyjemność. Będzie to najulubieńszy z moich notesów - zakończył z fanfaronadą Ferdynand.

Weszli następnie do sklepu i pan Radio wybrał dla Ferdynanda piękny, kratkowany notes w ciemnozielonej oprawie.

- Niech pan na pierwszej stronie wpisze dzisiejszą datę...
- Już wpisałem - powiedział Ferdynand.
- A pod tą datą niech pan napisze dużymi literami: ``wieczór wolny..."
- Wie-czór wol-ny - powtórzył Ferdynand. - Wpisane!

- Świetnie! - zatarł ręce pan Radio. - Teraz ze spokojnym sumieniem mogę pana zaprosić do kina. Wiem, że nie zepsuję panu pańskich planów. W pańskim notesie wyraźnie jest napisane, że dziś ma pan wieczór wolny. Widzi pan, jaka to wspaniała rzecz taki notes. Zajrzy człowiek i od razu wszystko wie...

Po kinie poszli na mały spacer. Pan Radio był zachwycony grą aktorów. Ferdynand nie sprzeciwiał się jego zdaniu nie tylko dlatego, że mało się znał na sztuce aktorskiej, ale głównie dlatego, że większą część filmu po prostu sobie przedzemał. Ale żeby nie uchodzić za zupełnego matołka, trzeba było coś powiedzieć. Ferdynandowi z całego filmu najbardziej podobał się pies Bingo, który w pewnym momencie przebiegł przez pokój, otworzył łapkami drzwi i zaczął gonić swego odjeżdżającego na koniu pana. Akurat w tym momencie Ferdynand jeszcze nie spał.

- Moim zdaniem - powiedział od niechcienia - najlepszy był aktor grający Binga.
- Jakiego Binga? - zapytał ze zdumieniem pan Radio.
- Binga, tego psa, który goni swego pana odjeżdżającego konno - wyjaśnił spokojnie Ferdynand.
- Przecież to nie aktor! - zawołał pan Radio.
- Jak to: nie aktor, kiedy gra w filmie? - zaśmiał się Ferdynand.
- Grać, gra, ale nie jest aktorem. To po prostu zwyczajny pies.
- Jak pan może mówić takie rzeczy! - oburzył się Ferdynand. - Żaden pies nie potrafiłby zagrać takiej roli. Widział pan, jak on pięknie biegł przez pokój? A jak potem wspaniale otwierał drzwi! A

kiedy już znalazł się za drzwiami, z jakim uczuciem patrzył za oddalającym się panem, zanim zdecydował się go gonić. Nie, drogi panie Radio, żaden pies tego nie potrafi, do tego trzeba być aktorem.

- Pan nawet nie przypuszcza, do czego są zdolne psy - powiedział pan Radio.

- Powiedzmy, że nie przypuszczam... - mruknął ironicznie Ferdynand. - A jednak uważam, że to był aktor przebrany za psa.

- Sądzi pan, że możliwe są takie rzeczy? - zapytał niedowierzająco pan Radio.

- Nie tylko sądzę, ale jestem tego pewien - powiedział stanowczo Ferdynand. - Powiem panu więcej: osobiście znam podobny wypadek, tyle że odwrot...

W tym momencie Ferdynand ugryzł się w język, bo zrozumiał, że powiedział o wiele za dużo.

- Czy chciał pan powiedzieć, że słyszał pan o psie, który był przebrany za człowieka? - nalegał pan Radio.

- Ach, nie, nic podobnego - zaczął się tłumaczyć Ferdynand. - Coś mi się po prostu pokiełbało.

Wie pan co - dodał, żeby zmienić temat rozmowy - wydaje mi się, że jestem odrobinę zmęczony i zaczynam bredzić jakieś niestworzone historie.

- Późno już jest istotnie - powiedział pan Radio. - Ja także odczuwam zmęczenie. Najlepiej będzie, jak pójdziemy spać.

- Zupełnie słusznie - odparł Ferdynand. - Mam nadzieję, że się jeszcze nie raz ze sobą spotkamy, panie Radio.

- To dla mnie nie ulega wątpliwości. Bardzo mi się miło spędziło z panem czas.

- A więc dobranoc, panie Radio.

- Dobranoc, panie Ferdynandzie. Do zobaczenia!

\\

Rozeszli się w przeciwne strony. Ferdynand powoli włókł się ulicą nie bardzo wiedząc, co ma ze sobą zrobić. Rzeczywiście był okropnie śpiący. Ostatecznie mógł wrócić do domu, na swoją kanapę, ale wtedy wszystko by się od razu skończyło. Nie, tego nie wolno mu było robić pod żadnym pozorem.

- Zaraz, zaraz... - zaczął się zastanawiać. - Co się robi, kiedy człowiekowi chce się spać, a nie ma gdzie?...

Z daleka zobaczył czerwony, drgający w ciemnościach neon.

\\

``HotelPod Wesołym Smokiem".

\\

- Hotel? Tak, to jest to, czego mi trzeba. Pójdę się przespać do hotelu - postanowił.

Poszedł w kierunku neonu.

Przez kręcące się jak karuzela drzwi wszedł do środka. Pod ścianą wielkiej sali, na tle ogromnej ilości kluczy, pod herbem wyobrażającym Wesołego Smoka, siedział portier cały upstrzony złotymi guzikami.

- Dobry wieczór panu - powiedział, zanim jeszcze Ferdynand zdążył otworzyć usta. - Czym mogę panu służyć?

Pierwszy raz chciał ktoś służyć Ferdynandowi. Dotychczas zawsze jemu kazano służyć. Ale Ferdynand niczemu się już nie dziwił.

- Dobry wieczór - odparł. - Chciałbym się, proszę pana, przespać.

- Chodzi panu o pokój jednoosobowy?

- Właśnie, o jednoosobowy - powiedział Ferdynand.

- Numer 423, czwarte piętro - powiedział portier. - Proszę, oto klucz.

- Dziękuję - powiedział Ferdynand, zabrał klucz i chciał odejść.

- Chwileczkę, proszę pana - zatrzymał go portier. - Poproszę o personalia.

- O co? - zapytał Ferdynand, jakby nie dosłyszał.

- O imię, nazwisko...

- Ferdynand - powiedział Ferdynand.

- To imię. A nazwisko?

- Mnn... - zaczął się zastanawiać Ferdynand. Nic mu nie przychodziło na myśl. To był okropny moment. Wreszcie przypomniał sobie, że często o nim ostatnio mówiono: ``wspaniały". I głośno, z uśmiechem ulgi powiedział:

- Wspaniały.

- Doskonale - rzekł portier, zapisał coś w grubej książce i nisko kłaniając się dodał: - Życzę panu przyjemnej nocy.

Winda zawiozła Ferdynanda na czwarte piętro, a miła pokojówka zaprowadziła go do pokoju 423 i powiedziawszy: ``Dobranoc", cichutko odeszła. Ferdynand został sam. Zamknął drzwi na klucz, rozebrał się, odkręcił kran, łyknął trochę wody, bo straszliwie chciało mu się pić, i wskoczył do czyściutkiego łóżka. Wyciągnął się jak długi i zrobiło mu się bardzo przyjemnie.

Nie mógł jednak zasnąć. Minęła godzina, potem druga, a on ciągle nie spał. Wiercił się, przewracał z boku na bok, nawet próbował zwinąć się w kłębek - nie pomagało. Wreszcie zrozumiał: było mu za międko. Wyskoczył z łóżka, położył się na dywaniku, który leżał na podłodze przed łóżkiem, i wtedy dopiero poczuł, że sen zbliża się do niego siedmiomilowymi krokami. Nawet nie zauważył, kiedy zasnął.

Vi

O godzinie trzeciej w nocy na biurku portiera hotelu ``Pod Wesołym Smokiem" zadzwonił telefon. Zaspany portier sennym ruchem sięgnął po słuchawkę.

- Słucham - powiedział.

- Tutaj pokój 422 - odezwał się w słuchawce jakiś męski głos. - W pokoju obok coś warczy!

- Warczy? - zdumiał się portier.

- Przecież wyraźnie mówię panu, że warczy - zdenerwował się głos w telefonie. - Proszę coś z tym zrobić, bo nie mogę spać.

W telefonie zapanowała cisza.

- Co to może być? - zaczął zastanawiać się portier. - Czyżby jakaś froterka? Nie, to niemożliwe, o tej porze w naszym hotelu nic się nie froteruje. A może to woda szumi w rurach? Nieraz się zdarza, że ktoś nie może zasnąć i wtedy byle co go denerwuje. Kto wie, czy ten gość spod numeru 422 nie cierpi na bezsenność...

Z tym przekonaniem portier ponownie zapadł w drzemkę.

Piętnaście minut po trzeciej telefon zadzwijał po raz drugi. Znow sennym ruchem sięgnął portier po słuchawkę i znow, jak wiele tysięcy razy, grzecznym, wytrenowanym głosem powiedział:

- Słucham.

- Proszę pana! - zazgrzytało w słuchawce. - W pokoju za ścianą tak, jakby coś warczało. Tak, jakby coś warczało...

- Czy można wiedzieć, kto mówi? - zapytał grzecznie portier.

- Mówi Marianna Donauwellen... Marianna Donauwellen...

- Chwileczkę - powiedział portier - pani zajmuje pokój?...

- 424, proszę pana, 424 - zazgrzytało w telefonie.

- I twierdzi pani, że za ścianą coś warczy?

- Zupełnie wyraźnie, proszę pana, zupełnie wyraźnie. Do tego stopnia, że mnie to przebudziło, proszę pana, do tego stopnia...

- Zaraz postaram się to załatwić - powiedział portier. - Życzę pani szybkiego zaśnięcia i przyjemnych snów.

- Dziękuję panu uprzejmie, uprzejmie panu dziękuję...

I w telefonie zapanowała cisza.

- Jednak coś warczy - mruknął do siebie portier i zaczął się drapać za uchem. Pierwszy raz w jego wieloletniej praktyce zdarzał mu się taki wypadek. Był przyzwyczajony do rozmaitych, nieraz bardzo dziwnych żądań i kaprysów gości przewijających się przez hotel ``Pod Wesołym Smokiem". Był przyzwyczajony do ich słusznych i niesłusznych pretensji, ale warczenia, i to w dodatku w środku nocy, do tej pory jeszcze nie było. A może się przesłyszeli? Najlepiej poczekać do rana.

Rano wszystko elegancko wyjaśnimy.

Z tyłu za nim zegar tykał miarowo, sennie. W ogóle w nocy w hotelu, kiedy wszyscy śpią, jest bardzo senny nastrój. Jeśli mamy być szczerzy, portier poddał się temu nastrojowi z rozkoszą. Po paru chwilach znów drzemał w swym służbowym fotelu. Zaczęło mu się nawet śnić, że to on sam warczy przez sen, kiedy telefon odezwał się po raz trzeci.

- Słucham - powiedział jak zwykle.

- Panie! - darł się w słuchawce jakiś basowy głos. - Tam pode mną, w pokoju na dole, słychać warczenie. To skandal, panie, żeby do takiego hotelu wpuszczać gości z psami!

- Czy można wiedzieć, z którego pokoju pan dzwoni? - zapytał uprzejmie portier.

- Z pokoju 523, panie! Takie psy to tylko pchły, panie, po dywanach i po łózkach roznoszą!

- To na pewno jest jakieś nieporozumienie, zapewniam pana - zaczął go uspokajać portier. - Żaden gość z psem nie przebywa w naszym hotelu.

- Jak to: nie przebywa, panie - wrzeszczał bas - kiedy warczy?

- Może to tylko złudzenie...

- Ładne mi złudzenie! - zahuczał bas w słuchawce. - Niech pan, panie, przyjdzie na górę, to pan się przekona, jakie to złudzenie!

- Za chwilę tam będę - powiedział portier i odłożył słuchawkę.

Spojrzał na zegar. Była prawie czwarta. Nie chcąc uruchamiać windy, której odgłos mógłby obudzić dalszych kilku gości, poszedł na piąte piętro piechotą. Po drodze myślał sobie tak:

``Jeśli ten, co dzwonił, mieszka w pokoju 523, to pod pokojem 523 znajduje się pokój 423. Kto mieszka w pokoju 423? - zaczął się zastanawiać. - Czy nie ten słynny pianista, który dzisiaj miał koncert w Filharmonii? Nie, słynny pianista mieszka w pokoju 241. A może Lilla da Parma, wielka artystka filmowa? Także nie. Lilla da Parma mieszka w pokoju 118. A może światowej sławy magik hinduski, Mondraparada? Ale skąd? Magik Mondraparada zajmuje pokój 303. A może drużyna piłkarska, która przyjechała na jutrzejszy mecz? Nie, nic podobnego. Piłkarze mieszkają w pokojach 401, 402, 403, 404, 405, 406, 407, 408, 409, 410, 411, a rezerwowi bramkarz ma pokój 412. Ciekawe, kto śpi w pokoju 423? Ani rusz nie mogę sobie przypomnieć. Zaraz, zaraz, czy przypadkiem nie ten pan, który przyszedł późnym wieczorem? Jakże on się nazywa? Tak jakoś śmiesznie... Wspaniały... Tak! - zawołał z triumfem. - Pod 423 mieszka pan Ferdynand Wspaniały. Wykluczone, żeby był z psem. Sam mu przecież dawałem klucz od pokoju. Pamiętam doskonale: był bez walizki, a co dopiero mówić o psie".

Zmęczony wspinaczką po schodach, stanął przed pokojem 523. Zapukał. Otworzył mu niewielki człowieczek w różowej piżamie. Portier był przekonany, że się pomylił.

- Proszę, niech pan wejdzie - powiedział człowieczek basem. Jego głos zupełnie nie pasował do postaci. Był to głos przeznaczony dla olbrzyma, a tymczasem musiał służyć małemu, drobnemu chudzielcowi. - Niech pan, panie, zamknie dobrze drzwi za sobą i niech pan słucha - ciągnął dalej człowieczek.

Portier wszedł do środka, zamknął drzwi i stanął bezradnie, nie wiedząc, co ze sobą począć.

Człowieczek przyłożył palec do ust.

- A teraz, panie, pssst! - powiedział. - Niech pan tylko słucha.

Portier ze zdumieniem skinął głową, po czym obaj w milczeniu zaczęli nadśluchiwać.

Minęła minuta, dwie, trzy, i nic. Wkoło była absolutna cisza. Nie mącił jej najmniejszy nawet odgłos.

- Słyszysz pan coś? - zapytał bas.

- Nic nie słyszę - odpowiedział portier.

- Zupełnie nic? - nalegał bas.

- Zupełnie nic - powtórzył portier.

- Wie pan, panie, że ja też nic nie słyszę - przyznał się bas.

- Widocznie zdawało się panu, że coś warczy.

- Przysięgam panu, że warczało! - zawołał bas.

- Kiedy widzi pan, że nie warczy.

- Teraz nie warczy, ale przedtem warczało.

Człowieczek był wyraźnie zbity z tropu.

- To ja już sobie pójdę - powiedział portier. - Mam nadzieję, że nic już nie przerwie panu pańskiego snu.

- Przykro mi bardzo - mruknął bas - że fatygowałem pana niepotrzebnie...

- Nic nie szkodzi, proszę pana, to przecież mój obowiązek.

Portier zamknął za sobą drzwi pokoju 523 i powoli zaczął schodzić ze schodów. Kiedy był na pierwszym piętrze, usłyszał, że telefon na jego biurku dzwoni po raz czwarty. Zbiegł szybko na dół, podniósł słuchawkę i powiedział:

- Proszę?

- Mówi pokój 323 - zapiszczał przestraszony damski głosik. - W pokoju nade mną coś warczy. Ja się boję. Ja się ogromnie boję.

- Proszę zachować zimną krew, łaskawa pani. Nie grozi pani żadne niebezpieczeństwo.

- Nie ma pan pojęcia, jak ja się boję warczenia. Kiedy miałam sześć lat chciał mnie ugryźć pewien pies...

- Ale nie ugryzł - ucieszył się portier.

- Rzeczywiście, nie ugryzł. Ale nie jest pan w stanie wyobrazić sobie, jak on na mnie warczał. Od tej pory panicznie boję się warczenia.

- Czy jest pani pewna, że w pokoju nad panią coś warczało?

- Jestem najzupełniej tego pewna.

- Zaraz zawiadomię dyrektora hotelu. Postaramy się zaradzić temu warczeniu. Tymczasem proszę położyć się spokojnie do łóżka i starać się zasnąć.

- Tylko niech pan nie zapomni - jęknął głosik. - Ja się naprawdę boję.

Portier odłożył słuchawkę, popatrzył na zegar i postanowił porozumieć się z dyrektorem. Zbliżała się piąta. Budzić dyrektora o tej godzinie było rzeczą wielce ryzykowną, ale portier nie widział innego wyjścia. Nakręcił dyrektorski numer i po chwili usłyszał zaspany dyrektorski głos:

- Kto tam, do wszystkich diabłów?

- To ja, panie dyrektorze, nocny portier.

- Czegóż mnie budzicie, do wszystkich diabłów?

- Ośmieliłem się budzić pana dyrektora, ponieważ coś warczy w pokoju 423.

- A niech sobie warczy, do wszystkich diabłów!

- Kiedy, panie dyrektorze, goście się skarżą.

- Jacy goście, do wszystkich diabłów?

- Goście spod numeru 422, 424, 323 i 523.

- A jak myślicie, co to warczy, do wszystkich diabłów?

- Jeśli warczy, panie dyrektorze, to myślę, że to pies.

- Przecież wiecie, że nie wynajmujemy gościom, którzy przychodzą z psami, do wszystkich diabłów!

- Wiem, panie dyrektorze.

- A kto mieszka pod numerem 423, do wszystkich diabłów?

- Pan Ferdynand Wspaniały, panie dyrektorze.

- Przyszedł bez psa?

- Bez psa, panie dyrektorze.

- To co ma warczeć, do wszystkich diabłów?

- Czy ja wiem, panie dyrektorze, może on ma ze sobą składanego psa?

- To bardzo możliwe, do wszystkich diabłów - wrzasnął dyrektor. - Koniecznie musimy to sprawdzić. Zaraz tam do was przyjdę.

Dyrektor ubrał się błyskawicznie i w ciągu kwadransa zjawił się w portierni.

- Idziemy! - powiedział stanowczym głosem.

- Idziemy! - powtórzył jak echo portier.

Weszli na czwarte piętro, stanęli pod drzwiami z numerem 423 i wstrzymali oddech.

- Przecież wyraźnie mówię panu, że warczy.

- Nic nie warczy?





wspaniale, że Wspaniały.

- Aha...

- Przepraszam bardzo, czy można wiedzieć, o czym tak panowie szepczecie? - zapytał nagle Ferdynand, któremu znudziło się stać beczynnie na boku.

- My nic... - zmieszał się dyrektor. - My uzgadniamy tylko pewne służbowe sprawy...

- Służbowe sprawy, o, to bardzo ważne - powiedział z szacunkiem Ferdynand.

- Widzi pan, panie Ferdynandzie - zaczął uroczyście dyrektor - kierownictwo hotelu "Pod Wesołym Smokiem" postanowiło naprawić swój błąd...

- Jaki znów błąd? - zapytał ze zdumieniem Ferdynand.

- Popelniliśmy, panie Ferdynandzie, rzecz straszną...

- Cóż takiego strasznego?

- Obudziliśmy naszego gościa...

- Kogóż to? - zainteresował się Ferdynand.

- Pana, kochany panie Ferdynandzie - powiedział ze skrucą w głosie dyrektor.

- Eeeee tam! - lekceważąco odparł Ferdynand. - Nie ma nawet o czym mówić.

- O, nie, nigdy się z tym nie zgodzę! - zawołał pompatycznie dyrektor. - Musimy to panu w jakiś sposób wynagrodzić. Godzina jest zbyt wczesna, żeby zrywać gości z łóżek.

- Naprawdę nie chce mi się już spać. Wyspałem się solidnie - zapewnił Ferdynand.

- A jednak naszym obowiązkiem jest to naprawić. Czy ma pan jakieś życzenie?

Ferdynand zamyślił się i po chwili odparł:

- Nie mam.

- Czy rzeczywiście niczego pan nie pragnie?

- Niczego.

- Może ma pan ochotę na czekoladki?

- Jeśli mam być szczery, to nie przepadam za czekoladkami, szczególnie z samego rana.

- A może zawołać panu fryzjera?

- Dziękuję, sam się golę - skłamał Ferdynand.

- Oddamy panu do dyspozycji hotelowy samochód - nalegał dyrektor.

- Przysięgam, że uwielbiam chodzenie piechotą.

- Zamówimy dla pana na wieczór bilet do Opery.

- Oj, tam tak wyją - prawie płaczliwie powiedział Ferdynand.

- Wstawimy panu do pokoju telewizor.

- To strasznie miga.

- A może, panie dyrektorze, odprasować temu panu spodnie? - podszeptał portier.

- Nie znoszę za ostrych kantów.

- Panie Ferdynandzie! - dyrektor hotelu ukląkł zrozpaczony pośrodku pokoju. - Niech pan powie, jak się mamy panu zrewanżować?

- Po co się macie rewanżować?

- Musimy, panie Ferdynandzie, musimy. Tego wymaga nasz hotelarski honor.

- Chyba że tak - powiedział Ferdynand. Podniósł dyrektora z klęczek, spojrzął mu w oczy i zapytał:

- Czy macie windę?

- Tak jest, mamy! - zawołali jednocześnie portier i dyrektor.

- Panie dyrektorze - nieśmiało zaczął Ferdynand - ja nigdy w życiu nie jechałem windą.

- Nasza winda jest do pańskiej dyspozycji, panie Ferdynandzie! - zawołał uradowany dyrektor. -

Może pan jeździć, ile pan tylko zapragnie!

- Bo wie pan - Ferdynanda napadła ochota do zwierzeń - ja bardzo lubię podróżować.

Podróżowałem już wzdłuż i podróżowałem już wszecz, a nie podróżowałem jeszcze z góry na dół i z dołu do góry.

- Niestety, podróże te nie będą zbyt długie - zauważył dyrektor. - Nasz hotel ma wszystkiego osiem pięter.

- Zupełnie wystarczy, jak na pierwszy raz - powiedział Ferdynand. - Czy będę mógł zaraz zacząć podróżować?

- Oczywiście - powiedział portier. - Mam przy sobie klucz od windy.
- Więc chodźmy! - zawołał Ferdynand i podskoczył z radości.
- Chodźmy - odrzekł dyrektor. Wszyscy trzej opuścili pokój Ferdynanda.

\\

Winda znajdowała się akurat na parterze.

- Zaraz ją tu ściągniemy - powiedział dyrektor.
- Jak to: ściągniemy? - zainteresował się Ferdynand.
- Zobacz pan za chwilę. Ona sama tu do nas przyjedzie.
- Ciekawe - mruknął Ferdynand.

Portier wyjął z kieszeni klucz, włożył go w zamek umieszczony obok drzwi i przekręcił. Rozległ się szum motoru i po chwili winda zatrzymała się przed nimi. Otworzyli drzwi i weszli do środka. Była to kwadratowa kabina, cała oszklona, z lustrem i wygodną ławeczką do siedzenia. Portier zamknął drzwi i nacisnął jakiś guzik. Winda natychmiast zaczęła jechać w dół.

- Podoba się panu? - zapytał dyrektor.
- Ogromnie - odparł Ferdynand.

Nic więcej nie zdążyli sobie powiedzieć, bo byli już na parterze.

- Ja tu wysiadę, panie dyrektorze - powiedział portier - bo widzę, że czeka na mnie sporo interesantów.

Ferdynand spojrział przez okno windy i rzeczywiście zobaczył całą masę ludzi zebranych w hallu. Byli to goście obudzeni warczeniem. Ale tego Ferdynand naturalnie nie wiedział.

- Dobrze, niech pan wysiada - powiedział dyrektor. - Ja jeszcze zostanę i objaśnię panu Ferdynandowi, na czym polega działanie windy.

Portier wyszedł i Ferdynand został w windzie sam z dyrektorem.

- Widzi pan te guziki - powiedział dyrektor wskazując palcem na rząd białych guzików. - Obok każdego jest odpowiedni napis. Przy najniższym guziku: "alarm". To na wypadek, gdyby winda zatrzymała się między piętrami lub przytrafiło się jakieś inne nieszczęście. Wyżej jest guzik z napisem "parter". Naciskamy go, jeśli chcemy zjechać z któregoś piętra z góry na dół, w to miejsce, gdzie teraz jesteśmy. Potem guzik, przy którym jest napisane 1 "piętro", potem 2 "piętro", potem 3 "piętro", potem 4 "piętro", potem 5 "piętro", potem 6 "piętro", potem 7 "piętro" i wreszcie guzik z napisem 8 "piętro".

- Bardzo to mądrze wszystko pomyślane - powiedział Ferdynand. - Czy mogę nacisnąć któryś z tych guzików?

- Proszę naciskać, który się panu podoba.
- Na początek nie chcę jechać za wysoko.

To mówiąc Ferdynand nacisnął guzik pierwszego piętra. Po chwili już tam byli.

- Teraz pojedziemy na szóste.
- Doskonale - powiedział dyrektor.
- A teraz z szóstego na drugie.
- Znakomicie.
- A teraz z drugiego na ósme.
- Pysznie - przytaknął dyrektor.

I zaczęli jeździć w górę i w dół, zatrzymując się tylko na moment na różnych piętrach i zaraz jadąc dalej.

Zebrani w hallu goście, wśród których byli i panna Marianna Donauwellen z numeru 424, powtarzająca wszystko dwukrotnie, i mały mówiący basem człowieczek z numeru 523, i słynny pianista z numeru 241, i Lilla da Parma z numeru 118, i magik Mondraparada z pokoju 303, i bojaźliwa pani z pokoju 323, i pan z numeru 422, i cała drużyna piłkarska zajmująca pokoje od 401 do 412 - z zaciekawieniem obserwowali te niecodzienne przejażdżki. Z wrażenia zapomnieli nawet o pretensjach, z którymi przybiegli do portiera, i stojąc grupkami zadzierali głowy wysoko do góry, usiłując odgadnąć, na którym z kolei piętrze zatrzyma się winda.

- Ja mówię, że na siódmym! - wołała Lilla da Parma.
- A ja, że na trzecim! - krzyczał Mondraparada.

- A ja, że na piątym! - wykrzykiwał słynny pianista.

Winda tymczasem pojechała jeszcze raz na ósme piętro. Z ósmego zjechała aż na parter, ale nim ktokolwiek zdołał coś powiedzieć, znów się poderwała do góry.

Wewnątrz windy Ferdynand z dyrektorem siedzieli sobie wygodnie na ławeczce i tylko od czasu do czasu któryś z nich naciskał jakiś guzik. Potem znudziło im się takie normalne naciskanie i zaczęli naciskać na chybił trafił, z zamkniętymi oczami.

Kiedy przejechali w ten sposób ładnych kilka pionowych kilometrów, Ferdynand nagle zapytał:

- A od czego jest ten najwyższy guzik?

- Najwyższy jest od ósmego piętra - odparł dyrektor.

- Od ósmego piętra, to jest od ósmego piętra - powiedział Ferdynand. - Ale od czego jest ten guzik, który jest nad nim?

- Tam nie ma żadnego guzika nad nim - powiedział dyrektor, który ciągle jeszcze miał zamknięte oczy.

- Jak to nie ma, kiedy jest - krzyknął Ferdynand. - Niech pan zobaczy.

Dyrektor otworzył oczy i popatrzył.

- Rzeczywiście, jest jeszcze jeden guzik - powiedział. - Przysięgłbym, że go nie było, przynajmniej nigdy dotąd go nie zauważyłem.

- Ciekaw jestem, od czego jest ten guzik? - powiedział Ferdynand.

- Ano, możemy spróbować - powiedział dyrektor.

- Nigdy go pan nie naciskał? - zapytał Ferdynand.

- Nigdy - odparł dyrektor.

- Wie pan co - zaproponował Ferdynand - żeby nikt z nas nie był pokrzywdzony, naciśnijmy ten guzik jednocześnie, dobrze?

- Świetnie - odrzekł dyrektor. - Panie Ferdynandzie, pan jest jedyny do zabawy.

Jednocześnie nacisnęli guzik i wtedy zebrani w hallu goście zobaczyli nagle ze zgrozą, że winda jedzie w kierunku ósmego piętra, nie zatrzymuje się na nim, ale je mija, mija potem strych, który znajduje się nad ósmym piętrzem, i przez dach, który ni stąd, ni zowąd przed nią się otwiera, ulatuje w kierunku bładoniebieskiego, pokrytego lekkimi obłoczkami nieba.

Viii

Portier popatrzył do góry na znikającą w przestworzach windę, podrapał się w głowę - i natychmiast tuż obok schodów wywiesił kartkę:

\\

Dziś winda nieczynna

\\

Tymczasem w górze Ferdynand i dyrektor nie bardzo wiedzieli, co się właściwie stało.

- Zdaje się, że wylecieliśmy w powietrze - powiedział Ferdynand, kiedy już było jasne, że w dość niezwykły sposób opuścili budynek hotelu.

- Ja też odnoszę takie wrażenie - odparł nieco przerażony dyrektor.

- Może nie trzeba było naciskać tego guzika?

- Trudno, nacisnęliśmy i nie ma rady.

Winda ciągle wznosiła się do góry. Domy robiły się coraz mniejsze, ulice coraz węższe, a tramwaje i autobusy wyglądały z wysoka jak małe dziecinne zabawki. Od czasu do czasu zaczęli spotykać niewielkie pojedyncze chmurki.

- Ciekaw jestem, na jakiej wysokości teraz jesteśmy? - powiedział głośno Ferdynand.

- Znajdujecie się dokładnie na wysokości czterystu osiemdziesięciu pięciu metrów - powiedziała jedna z przepływających właśnie chmurki.

- Pani jest niesłychanie uprzejma! - zawołał Ferdynand, kłaniając się elegancko. - Dziękuję pani za tę informację, droga pani chmurko.

Chmurka, machając im na pożegnanie rączką, powędrowała w swoją stronę.

- Pan mnie zdumiewa, panie Ferdynandzie - odezwał się dyrektor. - Nie przypuszczałem, że pan

potrafi rozmawiać z chmurkami.

- Jak się ma odpowiednie podejście, to z każdym można sobie porozmawiać - powiedział z nutką samochwalstwa Ferdynand, zapominając o tym, że to chmurka pierwsza się do niego odezwała. - Niech pan zresztą sam spróbuje, to nic trudnego.

Dyrektor z miejsca zaczął wypatrywać chmurkę. Gdy tylko któraś się zbliżała, otwierał drzwi windy, wychylał się i mówił:

- Dzień dobry, malutka!

- Dzień dobry, panie dyrektorze - odpowiadała chmurka. - Życzę panu przyjemnej podróży.

Do następnej wołał:

- Jak się masz, różowy obłoczku!

- Dziękuję panu dyrektorowi, mam się całkiem dobrze - odpowiadał różowy obłoczek. - Dokąd to pan dyrektor jedzie?

- A tak sobie! - odkrzykiwał dyrektor, bo naprawdę nie wiedział, gdzie i po co jedzie. - Tak sobie, żeby popatrzeć trochę z góry na dół.

- Życzę przyjemnych widoków - wołała chmurka i zniknęła, a dyrektor zwracał się już do następnej, która pojawiała się obok fruwającej windy.

- Moje uszanowanie, ślicznej chmurczeczko! Jak się spało dzisiejszej nocy?

- Spało się bardzo dobrze - odpowiadała chmurka. - Niebo dzisiejszej nocy było bezchmurne, więc mogliśmy się wszystkie porządnie wyspać.

- Dlatego tak ładnie wyglądasz, bo jesteś wyspana.

Chmurka oblewała się lekkim rumieńcem i odpływała w dal, krzycząc na pożegnanie:

- Niestety, nie mogę z panem dyrektorem dłużej rozmawiać, bo nasz kierownik, pan Wiatr, strasznie nas dziś pogania. Do zobaczenia!

I już jej nie było.

- Bardzo miło rozmawia się z tymi chmurkami, panie Ferdynandzie - powiedział dyrektor, z zadowoleniem zacierając ręce.

- Niech pan już przestanie - poradził mu wreszcie Ferdynand. - Lecimy coraz wyżej, a pan bez przerwy wychyla się z windy. Jeszcze pan wypadnie...

Dyrektor spojrział w dół i zakreśliło mu się w głowie. Szybko zatrzasnął drzwi i usiadł na ławeczce.

- Niech pan się nie martwi - zaczął go pocieszać Ferdynand. - Dopóki nie lecimy w dół na złamanie karku, to nie jest jeszcze tak najgorzej.

- Czy my ciągle wznosimy się do góry? - jęknął dyrektor.

- Wydaje mi się, że tak - odparł Ferdynand. - Nie mamy, niestety, w naszej windzie zainstalowanego wysokościomierza i nie możemy stwierdzić, na jakiej wysokości w tej chwili się znajdujemy.

- Może by kogo zapytać? - powiedział dyrektor.

- Tak, ale kogo?

- Widzi pan, ptak! - wrzasnął dyrektor. - Niech pan się zapyta ptaka.

- Halo, halo, panie ptak! - zawołał Ferdynand. - Czy może nam pan powiedzieć, na jakiej wysokości teraz się znajdujemy?

Ptak podfrunął bliżej i usiadł na dachu windy.

- Prosimy do środka! - zawołali obaj jednocześnie.

Ptak wszedł do środka i zajął miejsce pomiędzy nimi na ławeczce.

- Panom chodzi o wysokość? - zapytał.

- Tak, chcemy wiedzieć, jak daleko odlecieliśmy od ziemi.

- W tej chwili znajdujemy się na wysokości piętnastu tysięcy stu jedenastu dziobów... - powiedział poważnie ptak.

- Nie bardzo rozumiem, co to znaczy - zauważył Ferdynand.

- Dziób - wyjaśnił ptak - to jest jednostka miary.

- A ile to będzie na centymetry? - zapytał dyrektor.

- Tego to ja już nie wiem - odpowiedział ptak.

- No, ale mniej więcej - nalegał Ferdynand.

- Niech pan popatrzy na mój dziób - powiedział ptak.

- Owszem, całkiem ładny - pochwalił Ferdynand.
- Nie o to chodzi - odrzekł ptak. - Ile on może mieć centymetrów?
- Czy ja wiem, może cztery...
- A według pana? - ptak zwrócił się do dyrektora.
- Czy ja wiem, może sześć...
- No, powiedzmy, że ma pięć... Zgadzą się panowie?
- Zgadzą się, naturalnie!!! - zawołali Ferdynand z dyrektorem.
- Wobec tego nic łatwiejszego, jak przeliczyć dzioby na centymetry, a potem na metry - powiedział ptak z dumą.
- Oj, przeliczanie! Strasznie tego nie lubię! - zawołał Ferdynand. - Może pan, panie dyrektorze, tym się zajmie?
- Spróbuję - powiedział dyrektor. - Założmy, że jeden dziób równa się pięciu centymetrom. Dziesięć dziobów to będzie pięćdziesiąt centymetrów, sto dziobów to będzie pięćset centymetrów, tysiąc dziobów to będzie pięć tysięcy centymetrów, dziesięć tysięcy dziobów to będzie pięćdziesiąt tysięcy centymetrów, piętnaście tysięcy dziobów to będzie siedemdziesiąt pięć tysięcy centymetrów, a siedemdziesiąt pięć tysięcy centymetrów to będzie siedemset pięćdziesiąt metrów. Do tego dochodzi jeszcze sto jedenaście dziobów, co daje pięć metrów i pięćdziesiąt pięć centymetrów. W sumie więc, po dokładnym przeliczeniu, piętnaście tysięcy sto jedenaście dziobów równa się siedemset pięćdziesięciu pięciu metrom i pięćdziesięciu pięciu centymetrom. To jest właśnie wysokość, na jakiej się znajdujemy, a ja jestem cały mokry z tego liczenia - zakończył dyrektor.
- Nadzwyczajnie pan to obliczył - powiedział Ferdynand. - Gratuluję panu, panie dyrektorze!
- Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego - zauważył dyrektor. - Jak się jest dyrektorem, to przynajmniej liczyć trzeba umieć. Czy my się ciągle jeszcze wznosimy?
- Tak - powiedział ptak - znów wzniesliśmy się o kilkanaście dziobów.
- Coś okropnego! - westchnął dyrektor. - Panie Ferdynandzie, musimy coś z tym zrobić. Nie możemy przecież bez przerwy lecieć wyżej i wyżej.
- Mam nadzieję, że pan ptak nam powie, co się w takich wypadkach robi - powiedział Ferdynand, spoglądając na ptaka.
- Ptak zrobił poważną minę.
- Przede wszystkim - powiedział - pozwolą panowie, że się przedstawię. Wszedłem do rakiety panów w czasie lotu i nawet nie wymieniłem swego nazwiska.
- Jaka to tam rakietka - przerwali jednocześnie dyrektor z Ferdynandem. - Zwyczajna winda hotelowa, która nie wiadomo dlaczego wyleciała w powietrze...
- Wszystko jedno, winda nie winda, w tej chwili jest to statek powietrzny i jako taki powinien być traktowany. Proszę mi wierzyć, znam się coś niecoś na tych sprawach. Gołębiowski jestem. Ferdynand z dyrektorem przyjrżeli się ptakowi uważniej i stwierdzili, że rzeczywiście miał w sobie coś z gołębia. Świadczyło to niezbitcie o tym, że nazwisko było prawdziwe. Skłonili się przed ptakiem i każdy wymienił swoje nazwisko.
- Wspaniały. Ferdynand Wspaniały - powiedział Ferdynand.
- Dewon. Aleksy Dewon - powiedział dyrektor.
- Cała przyjemność po mojej stronie - rzekł pan Gołębiowski.
- O, nie, panie Gołębiowski! - zawołali dyrektor z Ferdynandem. - Cała przyjemność po naszej stronie.
- W jaki sposób mogę panom pomóc? - zapytał pan Gołębiowski.
- Chodzi o to - powiedział dyrektor - że nie wiemy, co zrobić, żeby zacząć lecieć w dół. Bo na razie lecimy ciągle w górę. To zaczyna być groźne.
- Otóż, o ile mi wiadomo - zaczął pan Gołębiowski - istnieją następujące sposoby leczenia w dół: albo zwijamy skrzydła i opadamy błyskawicznie w dół jak kamień, albo z rozpostartymi skrzydłami, wykorzystując prądy powietrzne, szybujemy coraz to niżej i niżej, albo ustawiając w odpowiednim położeniu ogon sterujemy nim w kierunku ziemi...
- Innych sposobów już nie ma, kochany panie Gołębiowski? - zapytał Ferdynand zdławionym

głosem.

- Może są - odparł pan Gołębiowski - ale ja ich nie znam.
  - Nie mamy skrzydeł... - westchnął z rozpaczą dyrektor.
  - Ani ogonów... - dodał ze łzami w oczach Ferdynand.
  - A jednak trzeba coś zrobić? - powiedział zdecydowanie dyrektor.
  - Trzeba! - przyznał stanowczo Ferdynand.
  - Ale co? - mruknął dyrektor.
  - Ale co? - jęknął Ferdynand.
  - Ale co? - zadumał się pan Gołębiowski.
  - Mam wrażenie, że gdyby tę naszą winde czymś obciążyć, to siłą rzeczy musiałaby zacząć spadać w dół.
  - Obciążyć - powtórzył Ferdynand. - Ba, ale czym?
  - Jakimiś, na przykład, kamieniami - powiedział dyrektor.
  - Zabawne - zaśmiał się Ferdynand. - Skąd wziąć w powietrzu kamienie? O ile wiem, kamienie nie fruują w powietrzu...
  - Zaraz, zaraz - wtrącił pan Gołębiowski. - Przychodzi mi do głowy pomysł. Niewykluczone, że uda mi się obciążyć winde szanownych panów i w ten sposób zmusić ją do lądowania.
  - Byłby pan cudotwórcą, panie Gołębiowski - powiedział ironicznie Ferdynand.
  - Dałbym panu w prezencie sto worków grochu - oświadczył dyrektor, śmiejąc się w głębi duszy.
  - Trzymam pana dyrektora za słowo - powiedział pan Gołębiowski. - Teraz muszę panów opuścić. Panie Ferdynandzie, proszę mi otworzyć drzwi...
- Ferdynand otworzył drzwi windy, ptak poderwał się z ławki, machnął parę razy skrzydłami i wyfrunął na zewnątrz. Okrążył kilka razy szybującą w powietrzu winde, która przez ten czas znów się wzniosła o kilkanaście dziobów, kiwnął im na pożegnanie ogonem i odleciał.

Zostali zupełnie sami. W dole, daleko, daleko pod nimi, była ziemia; w górze, daleko, daleko nad nimi, było słońce. Nawet chmurki pochowały się gdzieś i otaczał ich gładziutki, nieskalany błękit. Ogarniało ich coraz większe uczucie osamotnienia.

- Obawiam się, że już nigdy nie wrócimy na ziemię - powiedział zrozpaczony dyrektor.
  - Potrzebne nam to było! - zawodził Ferdynand.
  - Już nigdy nie zobaczę mego kochanego hotelu... - skarżył się dyrektor.
  - Ani ja moich drogich znajomych - dodał Ferdynand.
  - Po co pan, panie Ferdynandzie, naciskał ten guzik? - powiedział z wyrzutem dyrektor.
  - Ja??? - oburzył się Ferdynand. - Pan naciskał.
  - To nie ja naciskałem! - zawołał dyrektor. - To pan! Ja tylko udawałem, że naciskam.
  - Nieprawda! - wrzasnął Ferdynand. - To ja udawałem, a pan naciskał naprawdę.
  - Co tu dużo gadać, panie Ferdynandzie - powiedział z oczami pełnym łez dyrektor. - Obaj naciskaliśmy ten guzik...
  - Ma pan rację - przytaknął pojednawczo Ferdynand. - Obaj naciskaliśmy. Po cośmy naciskali ten guzik, panie dyrektorze?...
  - Po cośmy naciskali ten guzik, panie Ferdynandzie?
- Kiedy tak rozpaczali, w oddali ukazała się wielka, szara chmura i szybko zaczęła zbliżać się w kierunku windy. Rosła i rosła, aż w pewnej chwili otoczyła winde ze wszystkich stron. Zrobiło się prawie ciemno i w tej ciemności słychać było tylko potężny, nieustanny szum skrzydeł. To pan Gołębiowski sprowadził na pomoc stada znajomych gołębi.

- Siadać na dachu! - wołał ochrypłym głosem. - Siadać na dachu!

Gołębie szybko, jeden po drugim, obsiadły dach windy. Winda przestała się wznosić do góry. Wisiała teraz zawieszona nieruchomo w powietrzu.

- Robimy piramidę! - zakomenderował pan Gołębiowski.

Następna partia gołębi siadła na grzbietach gołębi siedzących na dachu. Winda powoli zaczęła opadać w dół. Odtąd opadała coraz szybciej, w miarę jak nowe gołębie włączały się w budowę piramidy. Zamknięci w windzie dyrektor i Ferdynand zaczęli z radości podskakiwać i klaskać w dłonie. Piramida była gotowa. Na samym szczycie, jako ostatni, usiadł pan Gołębiowski. Ferdynand

uchylił drzwi i zawołał w jego stronę:

- Panie Gołębiowski, pan jest cudotwórcą!

A dyrektor Dewon dodał:

- Ma pan u mnie sto worków grochu!

Ix

Teraz najważniejsza rzecz, aby wylądować na czymś gładkim - powiedział cichutko Ferdynand, kiedy już było wiadomo, że są uratowani.

- Ma pan rację, panie Ferdynandzie - przytaknął dyrektor. - Dopiero z wysoka widać, jak ta ziemia najeżona jest sterzącymi przedmiotami. Zupełnie jak poduszczyk, w którą się wpina igły i szpilki.

- Brrrr! Aż się zimno robi! - otrząsnął się Ferdynand spoglądając w dół.

- A kto nam zagwarantuje, że nie wylądujemy na jakimś drzewie... - ponuro zakrakał dyrektor.

- Albo na telefonicznym słupie... - dodał Ferdynand.

- Albo na kominie fabrycznym...

- Albo na jakiejś wieży...

- Albo na maszcie radiostacji...

- Albo na piorunochronie...

- Albo na szczycie jakiejś góry...

- Albo na ulicznej lampie...

- Albo na spadzistym dachu...

- Momencik - Ferdynand przerwał to wyliczanie straszliwych możliwości - niech pan zobaczy, panie dyrektorze, czy daleko jeszcze do ziemi.

- O, jeszcze daleko - powiedział dyrektor.

- Wobec tego wyliczajmy dalej. Albo na antenie telewizyjnej...

- Albo na kolumnie Zygmunta...

- Albo na szybie naftowym...

- Albo na semaforze...

- Daleko jeszcze?

- Daleko.

- Albo na wieży do skoków spadochronowych...

- Albo na drzewie...

- Drzewo już było - zauważył przytomnie Ferdynand.

- Nic nie szkodzi - powiedział dyrektor. - Ja miałem na myśli inne drzewo niż pan.

- A skąd pan wie, jakie ja drzewo miałem na myśli? - zapytał Ferdynand.

- Mam wrażenie, że miał pan na myśli jakieś wysokie drzewo.

- Zgadł pan! - zawołał Ferdynand. - Miałem na myśli jakieś wysokie drzewo, to prawda. A jakie drzewo miał pan na myśli?

- Ja miałem na myśli takie inne drzewo, też wysokie drzewo, ale mniej wysokie - powiedział dyrektor.

- Wobec tego wszystko w porządku. Daleko jeszcze?

- Daleko.

- Albo na ratuszu...

- Albo na kościele...

- Albo na latarni...

- Latarnia już była - zrewanżował się dyrektor.

- Nic podobnego - zaprotestował Ferdynand.

- Przecież sam pan mówił o latarni!

- Pan się myli, panie dyrektorze - oświadczył Ferdynand. - Przyznaję, że użyłem wyrażenia "uliczna lampa", ale o "latarni" dotychczas mowy nie było.

- Ja nie widzę żadnej różnicy pomiędzy "uliczną lampą" a "latarnią" - powiedział lekceważąco dyrektor.

- A ja widzę. Zresztą nie ma się o co sprzeczać - powiedział łagodnie Ferdynand. - Lepiej niech pan popatrzy, czy daleko jeszcze?

Dyrektor wychylił się z windy, popatrzył w dół, pomyślał chwilę, a potem powiedział:

- Już nie tak daleko, jak przedtem, ale ciągle jeszcze dosyć daleko.

- No to wyliczajmy dalej.

- Albo na drucie kolczastym...

- Auuuu! - zawył Ferdynand.

- Co panu się stało? - zapytał przerażony dyrektor.

- Niech pan nawet nie wspomina o takich rzeczach. Przecież o to się można pokaleczyć.

- A można, można - przytaknął dyrektor.

- Przyznam się panu, że wolałbym wylądować na czymś bardziej miękkim - powiedział konfidencyjnie Ferdynand.

- Najlepszy byłby jakiś duży czekoladowy tort - mruknął dyrektor z nutką ironii.

- O tym to nawet nie ma co marzyć - westchnął Ferdynand. - Zresztą, czy to by było takie dobre? Ubrania by się nam poplamiały od kremu i czekolady.

- Dalibyśmy ubrania do chemicznej pralni - powiedział dyrektor.

- Nie, to już przesada! - zaprotestował Ferdynand. - Moim zdaniem lepiej by było wylizać.

- Uprzejmie panu dziękuję za taką przyjemność - powiedział dyrektor nieco urażony.

- Jak pan nie ma ochoty, to ja mogę wylizać pańskie ubranie - oświadczył Ferdynand, oblizując się podświadomie.

- Nie ma o czym mówić - przerwał oschle dyrektor. - Na razie jeszcze nie wylądowaliśmy na torcie.

- To prawda - zgodził się Ferdynand. - A daleko jeszcze?

- Coraz bliżej - powiedział dyrektor, popatrzawszy w dół.

- Bylebyśmy nie wylądowali na tłuczonym szkłe - mruknął pod nosem Ferdynand.

- Oooooo! - wrzasnął dyrektor.

- Co się panu stało? - zapytał z głupia frant Ferdynand.

- Jak pan może mówić o czymś takim! - powiedział z wyrzutem w głosie dyrektor.

- Myśli pan, że moje tłuczone szkło jest gorsze od pańskiego drutu kolczatego?

- Powiem panu szczerze, że jedno i drugie jest nie bardzo przyjemne - powiedział pojednawczo dyrektor.

- No, widzi pan. Lepiej przestańmy się straszyć - zaproponował Ferdynand. - Daleko tam jeszcze?

Dyrektor znów się wychylił, ale szybko cofnął się przerażony.

- Niestety, panie Ferdynandzie! - zawołał. - Ziemia jest już bliźiuteńko!

- To świetnie - powiedział Ferdynand.

- Niech pan popatrzy w dół, to zobaczy pan, czy świetnie - jęknął dyrektor.

Ferdynand wychylił się z windy i sierść zjeżyła mu się ze strachu pod ubraniem. Wszędzie pod nimi, jak okiem sięgnąć, widać było powbijane w ziemię wysokie tyczki, na których zwykle rośnie groch lub fasola.

- A to ci bał! - mruknął sam do siebie i zaczął drapać się w tył głowy, zsunąwszy melonik na czoło.

- Co tu robić? - zaczął się zastanawiać. - Lada chwila możemy się ponabijać na te idiotyczne tyczki i co wtedy będzie? Ciekaw jestem, jak by pan, panie dyrektorze, wyglądał nadziany na taką tyczkę?

- Niech pan raczej pomyśli o sobie - odparł cierpko dyrektor. - Nie czas teraz na żarty, trzeba się ratować!

- Kiedy jesteśmy zupełnie bezradni - powiedział Ferdynand.

- Niezupełnie, panie Ferdynandzie, niezupełnie - powiedział stanowczym głosem dyrektor. - Trzeba tylko z powrotem unieść się w górę.

- Ale w jaki sposób?

- W całkiem prosty: wystarczy spędzić z dachu windy gołębie.

- Zaraz to zrobię! - krzyknął Ferdynand i wychyliwszy się zaczął wołać: - Panie Gołębiowski! Panie Gołębiowski!

Ale pan Gołębiowski nie odzywał się.

- Panie Gołębiowski! Panie Gołębiowski! - zaczął krzyczeć dyrektor.



Nic, znowu cisza. Więc postanowili krzyczeć razem:

- Pa-nie Go-łę-biow-ski! Pa-nie Go-łę-biow-ski!

Znów nie było żadnego efektu. Po prostu dlatego, że pan Gołębiowski spał sobie twardo na szczycie piramidy i nic nie słyszał. Przebudził się dopiero, kiedy któryś z gołębi, znajdujących się pod nim, stuknął go niby niechcący dziobem w brzuch.

- Co się dzieje? - zawołał. - Nawet na chwilę nie można się zdrzemnąć!

Dyrektor i Ferdynand natychmiast usłyszeli jego głos.

- Niech nas pan ratuje, panie Gołębiowski! - wrzasnęli. - Inaczej zginiemy na tyczkach od grochu. Pan Gołębiowski przestał być efektywnym zakończeniem piramidy i sfrunął do wnętrza windy.

- Co mam robić? - zapytał.

- Niech pan zabiera gołębie! - krzyknęli nieszczęśliwi pasażerowie windy.

- Jazda z dachu! - krzyknął pan Gołębiowski i gołębie posłuszne rozkazowi rozleciały się na wszystkie strony. Winda gwałtownie podskoczyła do góry i wznosząc się coraz to szybciej, zaczęła zmierzać w kierunku obłoków.

- Niech pan nas ratuje, panie Gołębiowski! - wrzasnęli ponownie Ferdynand z dyrektorem. - Inaczej zginiemy w przestrzeni kosmicznej.

- Co mam robić? - zapytał usłużnie pan Gołębiowski.

- Niech gołębie znowu siadają na dachu!

- Siadać na dachu! - zakomenderował pan Gołębiowski. - Ale nie wszystkie. Niech najpierw usiądzie połowa. Reszta niech fruwa w pobliżu.

Połowa gołębi usiadła na dachu i winda od razu przestała się wznosić. Nie opadała również w dół. Zaczęła zachowywać równowagę.

- Znakomicie pan to zrobił, panie Gołębiowski - powiedział Ferdynand. - Tylko że w ten sposób możemy wisieć w jednym miejscu aż do końca świata.

- Niech się pan nie martwi, panie Ferdynandzie - powiedział pan Gołębiowski. - Zaraz zawieje wiatr i zabierze nas z tej tyczkowej okolicy. Kiedy będziemy nad jakąś miejscowością, która przypadnie panom do gustu, każę usiąść na dachu reszcie gołębi i mam nadzieję, że uda nam się wylądować bezpiecznie.

- Fantastycznie pan to wszystko obmyślił - powiedział z podziwem dyrektor.

- Jeśli o mnie chodzi, to najchętniej wylądowałbym w Parku Miejskim.

- Dlaczego akurat w Parku Miejskim? - zainteresował się Ferdynand.

- Dlatego, że w Parku Miejskim odbywa się właśnie Wystawa Psów, na której miałem być dziś po południu. Bierze w niej udział mój ulubiony jamnik Mercedes. Nie ma pan pojęcia, panie Ferdynandzie, co to za cudowny pies.

- Mercedes to przecież marka samochodu - zauważył Ferdynand.

- Co pan powie? - zdziwił się dyrektor. - Nigdy bym nie przypuszczał, że samochód może się nazywać tak samo, jak mój pies. Czy to zresztą ma jakieś znaczenie?

- Oczywiście, że nie - powiedział Ferdynand. - Każdy ma prawo mieć takie imię, jakie mu się podoba. Mercedes... Mercedes... To nawet całkiem ładnie brzmi. Z prawdziwą przyjemnością poznam pańskiego Mercedesa.

- Ba, ale jak to zrobić, żeby wylądować właśnie na Wystawie.

- Trzeba by pogadać z Wiatrem - powiedział pan Gołębiowski.

- Niestety, my go nie znamy osobiście - powiedzieli jednocześnie Ferdynand z dyrektorem.

- Nic nie szkodzi. Ja spróbuję z nim porozmawiać - powiedział pan Gołębiowski i wyfrunął z windy.

Nie było go może kwadrans, a może pół godziny. Wreszcie wrócił i z uśmiechem zawołał:

- Załatwione! Wiatr powiedział, że postara się przedmuchać panów nad Miejski Park.

Wypadało im tylko czekać. Powoli tyczkowe pola zniknęły spod ich nóg, potem zjawiły się lasy, potem łąki, potem rzeka z mostem, potem domki, potem domy, potem jeszcze raz domki, aż wreszcie znaleźli się nad Parkiem.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział dyrektor.

Pan Gołębiowski kazał usiąść na dachu pozostałym gołębiom i zaczęli opadać w dół. Kiedy byli

nad drzewami Parku, dobiegło ich z dołu gigantyczne szczekanie. To wszystkie zebrane na Wystawie psy na swój sposób witały dziwny, przybywający z przestworzy wehikuł.

X

Kto nigdy nie był psem, ten nie jest w stanie wyobrazić sobie, czym dla prawdziwego psa jest Wystawa Psów. To jest coś, o czym pies marzy. To jest coś, co mu się śni. To jest coś, o czym rozmawia po cichu z innymi psami, kiedy się przypadkiem spotkają na spacerze. Czym dla młodej panny bal, czym dla chłopca kopanie piłki, czym dla oczu błękit morza, a lody dla podniebienia - tym dla psa, dla prawdziwego psa, jest Wystawa Psów.

Winda wylądowała szczęśliwie na małej polance otoczonej drzewami. Wśród powitalnego szczekania, warczenia i ujadania wszystkich zebranych na Wystawie eksponatów. Ferdynand z dyrektorem majestatycznie, bez cienia pośpiechu wyszli z jej wnętrza. Twarze mieli obojętne, ale w piersiach serca podskakiwały im z radości. Co tu dużo gadać, przyjemnie jest po takiej niespodziewanej podróży znaleźć się z powrotem na ziemi i czuć ją pod nogami.

Ferdynand, który w każdej sytuacji umiał zachować zimną krew, zaraz po wyjściu z windy zwrócił się do dyrektora:

- Czy nie ma pan przypadkiem sznurka?

- Po co panu sznurek? - zapytał dyrektor.

- Sznurek jest konieczny - oświadczył Ferdynand. - Trzeba przywiązać windę do jakiegoś drzewa, żeby nie odleciała bez nas.

- Niech sobie leci, gdzie jej się podoba! - zawołał dyrektor. - Nie mam zamiaru korzystać z jej usług.

- Ja też nie. Ale winda jest częścią hotelu, prawda?

- Prawda - zgodził się dyrektor.

- A pan jest dyrektorem hotelu, prawda?

- Prawda.

- Otóż to. Po powrocie mogą mieć do pana pretensje, że nie tylko używa pan służbowej windy do prywatnych wyjazdów za miasto, ale jeszcze w dodatku pozwala pan jej latać, gdzie jej się żywnie podoba. Czy zastanowił się pan, jak pański hotel będzie wyglądał bez windy? Bo jaką ma pan gwarancję, że ona, odleciawszy stąd, wróci na swoje miejsce pomiędzy schodami...

- Zdaje mi się, że pan ma rację, panie Ferdynandzie - powiedział dyrektor i zaczął gorączkowo grzebać po kieszeniach. - Spróbujmy ją przywiązać tym kawałkiem... Niestety, nie mam przy sobie niczego dłuższego.

Było to urwane sznurowadło. Przeciągnęli je przez kłamkę windy i przywiązali do cienkiej gałązki jakiegoś drzewa. Z największym trudem zaplątali węzeł.

- Ciekaw jestem, kto to będzie rozplątywał? - powiedział Ferdynand.

- A co mnie to obchodzi - odparł dyrektor. - Niech sobie rozplątuje, kto chce. Grunt, że jako tako jest przywiązana.

Winda zresztą, zmęczona podróżą, nie miała na razie w ogóle ochoty lecieć gdziekolwiek. ``Z przyjemnością zdrzemnę się trochę" - pomyślała sobie. Cień drzewa, do którego została przywiązana, wyglądał bardzo zachęcająco.

Ferdynand z dyrektorem pokleпали windę na odchodnym, tak jak się poklepuje dobrego konia, na którym odbyło się miłą przejażdżkę.

- Chodźmy obejrzyć psy - powiedział dyrektor.

- Chodźmy! - zgodził się Ferdynand.

Zrobili kilka kroków i nagle zobaczyli biegnącą w ich stronę grupkę ludzi. Był to Komitet Wystawy z Panem Prezesem na czele.

- Wi-wi-wi-ta-ta-my pa-pa-pa-nnnnn-ów ser-ser-decz-nnnnnie! - wołał z daleka Pan Prezes, który się zacinał, ilekroć był wzruszony.

- Bardzo nam miło, że panowie zaszczytili naszą wystawę swoją obecnością - krzyczał Pan Wiceprezes.

- Zrobiliście nam, panowie, wielki zaszczyt swoim przybyciem! - wołał Pan Sekretarz.
- Moje uszanowanie! Moje uszanowanie! Moje uszanowanie! - darł się Pan Skarbnik, który nic innego nie umiał wymyślić.

Ferdynand z dyrektorem przystanęli z wielkiego wrażenia.

- Nie zasłużyliśmy na takie zaszczyty... - mruknął Ferdynand.
- Naprawdę, nie jesteśmy godni... - wtrącił dyrektor.
- Znaleźliśmy się tutaj zupełnie przypadkowo... - powiedział cicho Ferdynand.
- Chcieliśmy po prostu obejrzeć sobie pieski... - dodał dyrektor.
- Wszy-wszy-wszy... - zaczął ku przerażeniu Ferdynanda i dyrektora krzyczeć Pan Prezes - wszy-wszy-wszyssstkie psy są ddddddddo pa-pa-panóóóów dyspo-dyspo-dyspopopozycji! - zakończył to skomplikowane zdanie z wyraźną ulgą.
- Chcielibyśmy wykupić bilety wstępu - powiedział dyrektor.
- Nie ma mowy! - zaprotestował Pan Skarbnik. - Panowie są naszymi honorowymi gośćmi.
- Wy-wy-wy-klu-klu-klu-czo-nnnne! - wyjąkał Pan Prezes.
- Nie chcemy nawet o tym słyszeć! - stwierdził Pan Wiceprezes.
- To byłaby dla nas wielka przykreść! - zapewnił Pan Sekretarz, kładąc rękę na sercu.
- Kiedy naprawdę jesteśmy zwykłymi sobie zwolennikami psów - zapewnił Ferdynand.
- Zwykli sobie zwolennicy psów przychodzą na Wystawę piechotą, a nie spadają z nieba - szepnął Pan Wiceprezes do Pana Prezesa.
- A-a-allbo przy-przy-przy-jeż-jeż-dzaaaaają tram-tram-tramwaaaajem - szeptem wyjąkał Pan Prezes, mrużąc przy tym oko. Głośno zaś dodał: - Nnnnnnie ma o czczczym mmmmmmmówić! Pro-pro-pro-szszszę za mnnnnną!

Otoczeni ze wszystkich stron członkami Komitetu, dyrektor z Ferdynandem ruszyli na zwiedzanie Wystawy.

W głównej alei Parku do każdego drzewa przywiązany był pies. Pies przy obroży miał wielki numer. Ten sam numer wydrukowany był w katalogu Wystawy. Kto chciał wiedzieć, co to za pies i jak się nazywa, i kto był jego mamusią, a kto tatusiem, i skąd pochodzi, i ile ma lat, i czy jest dobry, czy zły - ten zaglądał sobie do katalogu i tam szukał tego numeru, który wisiał przy psiej obroży. Obok psa na małym składanym krzeselku siedział zwykle jego właściciel albo ktoś z rodziny właściciela, kiedy właściciel zmęczył się siedzeniem i szedł do pobliskiego kiosku napić się wody sodowej z sokiem malinowym. Niektórzy pili wodę sodową z sokiem cytrynowym, a jeszcze inni z sokiem pomarańczowym. Byli też tacy, którzy żądali soku wiśniowego, nie mówiąc już o tych dziwakach, którzy pili czystą wodę bez soku.

Czy to jest takie ważne, co kto pił? Jeszcze jak! To tłumaczy w pewnym sensie, dlaczego tak dużo na świecie jest różnych gatunków psów. Jeden lubi wodę sodową z sokiem wiśniowym, drugi z sokiem malinowym, trzeci z sokiem pomarańczowym czwarty z sokiem cytrynowym, a piąty woli czystą, bez soku. To samo jest z psami. Jeden lubi owczarki, drugi wyżły, trzeci bokserzy, czwarty doberman, piąty teriery i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Chyba już wszystko jasne...

- Sądzę, że najlepiej będzie zacząć od początku, od numeru pierwszego - powiedział Pan Wiceprezes, którego Pan Prezes po cichu poprosił, aby podjął się objaśniania dostojnych gości, ze względu na jego, pana prezesowe, zacinanie się.

- Naturalnie! - zawołał Ferdynand. - Będziemy oglądać wszystko po kolei.

Zbliźali się właśnie do wielkiego buldoga, który przy obroży miał przywiązaną tabliczkę z numerem 1.

- Wyjątkowo piękny okaz - powiedział Pan Wiceprezes. - Wabi się Bas, prawdopodobnie dlatego, że ma niesłychanie niski głos. Jest to pies piekielnie zły. Nie wolno się do niego zbliżać.
- Bardzo ładny! - pochwalił Ferdynand i podszedł do Basa, żeby go pogłaskać.
- Niech pan się cofnie! - wrzasnęli członkowie Komitetu Wystawowego. - Bas może pana ugryźć.
- Niech spróbuje. Myślicie panowie, że mu nie oddam? - powiedział zawadiacko Ferdynand.
- Lepiej jednak być ostrożnym, panie Ferdynandzie - wtrącił dyrektor.
- Proszę o mnie się nie martwić, dam sobie radę.

Buldog, który do tej pory leżał spokojnie, zjeżył się nagle, zaczął węszyć i warczeć. Ferdynand był

o krok od niego. Pies nie zwracał zupełnie uwagi na resztę osób, tylko wyszczerzając kły w kierunku Ferdynanda warczał coraz groźniej.

Ferdynand patrzył na niego z ironicznym uśmiechem i w pewnej chwili także zaczął warczeć. Na pozór było to zwykłe: "Wrrrr!", kto by się jednak uważniej wsłuchał, stwierdziłby z pewnością, że to jest początek bardzo interesującej rozmowy.

- Wrrnnie wrrwy wrrrgłu wrrripij wrrrsię! - powiedział Ferdynand.

- Wrrrcoś wrrrtty wrrrta wrrrki wrrrważ wrrrny! - odpowiedział buldog.

- Wrrrpo wrrrca wrrluj wrrmnie wrrw wrrrnos! - zaproponował mu Ferdynand.

- Wrrroj wrrrrbo wrrrrię wrrrcap wrrrnę! - pogroził buldog.

- Wrrże wrrrbym wrnja wrrrrię wrrnnie wrrrcap wrnną! - odparł Ferdynand i tak, żeby nikt nie widział, pokazał buldogowi swoje wspaniałe zęby.

Buldog spojrział na niego z podziwem i natychmiast złagodniał. Zaczął warczeć o wiele delikatniej.

- Wrnie wrma wrsię wro wrco wrob wrra wrżać... - powiedział uśmiechając się kwaśno.

- Wrllu wrbie wrgrzcz wrnych - powiedział tym samym tonem Ferdynand. - Wrđaj wrła wrpę!

W czasie tej rozmowy zebrał się tłum zwiedzających i wszyscy z podziwem patrzyli, jak wściekły buldog podaje łapę Ferdynandowi. Pan Prezes z wielkiego wrażenia zaczął się jąkać jeszcze bardziej. Mówił coś bardzo długo, ale w rzeczywistości było to tylko jedno słowo:

-

NnnnnnnnnnnnnieeeeeeeeeeeeeeeeeesssssssssssssssssssssaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaamomomomomomomomomomomomomomomowwwwwwwwwwwwwwwitTTTTTTTTTTTTTTTTTTTTTTTTT!

Xi

Szli potem dalej, od jednego psa do drugiego, przy każdym przystając i przyglądając mu się długo, żeby poznać wszystkie jego zalety i wady. Psy na widok Ferdynanda ogarniał istny szal. Machały ogonami z szybkością dwóch tysięcy machnięć na minutę, a te, które ogonów nie miały, bo im je w dzieciństwie obcięto, wzdychały tylko z rozpaczą: "Ach, gdybym ja miał ogon, tobym mu dopiero pomachał!"

Ferdynand mówił niewiele. Zachowywał daleko idącą powściągliwość. Od czasu do czasu jedynie wygłaszał krótkie, ale jakże trafne uwagi:

- Bardzo ładny. Bardzo ładny.

- Ten także wyjątkowo przystojny.

- Ty, pinczer, nie garb się!

- Lewe ucho wyżej!

- Chciałbym mieć takiego wyzła. Chodziłbym z nim jesienią na kaczki.

- Pies to jest rzecz przepiękna, prawda?

- Podobasz mi się, mój mały.

- Pamiętaj, nie jedz za dużo kości.

- Jak się masz, ostrowłosa foksterierze!

- Czy wiecie, panowie, że małe psy jedzą o wiele mniej niż duże? Ciekawe, co?

- Witam cię, pudlu! Jak się jeszcze kiedyś w życiu spotkamy, to urządzimy sobie gonitwę.

- Śliczna jesteś, moja złota bokserko.

- Pchły, moim zdaniem, należy niszczyć wszelkimi możliwymi sposobami.

- Nie kręć się za swoim ogonem, ratlerku, i tak go nie złapiesz.

- Gdybym prowadził inny tryb życia, sam trzymałbym w domu psa. Kto wie, może nawet dwa.

- Wilku, nie patrz na mnie wilkiem, bo wyglądasz, jakbyś miał zeza.

- Uroczy jest ten pekińczyk.

- Nie drap się przy ludziach!

- Czy twoja matka nie mieszkała kiedyś w Białymstoku?

- Brawo, brawo!

- Chciałbym być podhalańskim owczarkiem. To dopiero jest życie!

- Zbyt mało psów umie czytać, nie uważacie, panowie?

- Znałem pewnego bernardyna, który ważył dokładnie siedemdziesiąt osiem ratlerków.
- Wyprostuj łapę! Oj, coś mi się zdaje, że za mało się gimnastykujesz.
- Buzi, piękna dobermancko.
- Gdyby ludzie mieli lepszy węch, psom byłoby o wiele lżej na świecie.
- Ogon, ogon, mój kochany!
- Król francuski Ludwik XII miał w swojej psiarni charta, który był tak szybki, że mógł gonić jednocześnie dwa zające uciekające w przeciwnych kierunkach.
- Witam cię, jamniczku!
- Mądry pies nie szczeka na zapas, zapamiętaj sobie.
- Nadzwyczajny jesteś, szary spanielu.
- Ho, ho, ho!
- Co jeden, to ładniejszy!
- Nowoczesny pies nie powinien się bać samolotu. Samoloty nie gryzą.

I tak dalej, i tak dalej...

Towarzyszący Ferdynandowi panowie coraz szerzej otwierali oczy ze zdumienia. Pierwszy raz spotkali kogoś, kto wiedział absolutnie wszystko o psach. Wiedział więcej niż oni wszyscy razem wzięci.

- Na-na-na-nadz-dz-dz-wy-wy-wy-wy-czczczcz-czaj-nnnne! - zawołał Pan Prezes.
- Może by go zrobić głównym sędzią na naszej Wystawie - zaproponował szeptem Pan Wiceprezes.
- Zna się na rzeczy! Zna się na rzeczy! - przytakiwał półgębkiem Pan Skarbnik.
- Nnnniech mmu pa-pa-pa-pan ttto zapro-zapro-pponuje - powiedział po cichu Pan Prezes do Pana Sekretarza.

Sekretarz zbliżył się do Ferdynanda i rzekł:

- W imieniu naszego Komitetu chcemy pana prosić, aby zgodził się pan zostać sędzią głównym na naszej Wystawie. Za jakąś godzinkę przeprowadzimy konkurs na najpiękniejszego psa i będzie nam bardzo miło, jeśli pokieruje nim tak znakomity znawca psów, jak pan.

Ferdynand spuścił skromnie oczy.

- Cóż - powiedział - jaki tam ze mnie znawca... Zwykły amator i nic więcej. Po prostu od urodzenia lubię psy i dość dużo z nimi obcowałem. Nie wiem, czy jestem godzien tak wielkiego zaszczytu...
- Nikogo godniejszego nie znamy! - zawołał Pan Sekretarz.
- Nie znamy! - przytaknął Pan Wiceprezes.
- Nie znamy! - potwierdził Pan Skarbnik.
- Nnnnnieeee zna-zna-zna-mmmmy! - krzyknął na końcu Pan Prezes, który zresztą wystartował przed wszystkimi.
- Wobec tego nie wypada mi zrobić nic innego, jak tylko przyjąć zaszczytną propozycję panów - powiedział Ferdynand. - Zgadzam się.
- Bravo! Bravo! Bravo! - zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego.

Kiedy nadeszła pora konkursu, przed specjalną lożą, w której honorowe miejsce zajął Ferdynand, zaczęto przeprowadzać psy. Defilowały prowadzone przez swych właścicieli na specjalnie eleganckich wyjściowych smyczach. Był to jeden z najpiękniejszych widoków, jakie Ferdynand widział w swoim życiu. Z boku przygrywała wesoła strażacka orkiestra. Zebrane wokoło tłumy nieustannie biły brawo, nagradzając oklaskami co piękniejsze okazy.

``Komu tu dać pierwszą nagrodę? - myślał sobie cały czas Ferdynand, przyglądając się defiladzie. - Nie wiem, co to będzie. Mnie się podobają wszystkie psy. Ja, gdyby to było możliwe, dałbym pierwszą nagrodę każdemu z nich. Niestety. Pierwsza nagroda jest tylko jedna. Tylko jeden pies może ją dostać. Okropna rzecz! Prawdę mówiąc, to tu, na tej Wystawie - myślał sobie dalej - jest ktoś, kto zdecydowanie zasługuje na pierwszą nagrodę. Obawiam się jednak, że nikomu nie przyjdzie to do głowy. Mnie zaś samemu nie wypada przecież proponować swojej kandydatury..." Przymknął oczy i oddał się marzeniom. Oto sąd konkursowy przyznaje mu pierwszą nagrodę na wystawie psów rasowych. Orkiestra gra marsza ``Wesoły pies". Przewodniczący sądu zbliża się do Ferdynanda, podaje mu rękę i mówi: ``Gratuluję ci, Ferdynandzie", a potem przywiązuje mu do obroży najwyższe odznaczenie - złotą wstążeczkę. Żeby choć raz przeżyć coś takiego! - wzdycha

Ferdynand. - Żeby choć raz...

- Panie Ferdynandzie! Panie Ferdynandzie! - słyszy nagle obok siebie czyjś szept i czuje, że ktoś mu daje kuksańca w bok. - Niech pan nie śpi, panie Ferdynandzie - mówi mu do ucha dyrektor. - Nie wypada. Co sobie o panu pomyśla?

- Ja wcale nie śpię, panie dyrektorze - odpowiada Ferdynand, otwierając oczy. - Ja wcale nie śpię. Na moment tylko ogarnęło mnie marzenie...

- Czy przyjemne?

- Najprzyjemniejsze, jakie sobie można wyobrazić.

Defilada dobiegała końca i sąd konkursowy zebrał się na naradę. Przewodniczył Ferdynand jako sędzia główny.

- Szanowni panowie - powiedział na wstępie - widzieliśmy tak wspaniałą paradę tak wspaniałych psów, że naprawdę z największym trudem przyjdzie nam powziąć ostateczną decyzję. Co do mnie, to przyznaję się z ręką na sercu, że nie jestem w stanie wskazać psa, który mi się najwięcej podoba. Jest ich, panowie, zbyt wiele. Żeby nikogo nie skrzywdzić, proponuję zarządzić tajne głosowanie. Pozostali sędziowie byli tego samego zdania. Ze wszystkich stron dobiegały okrzyki:

- Ma rację!

- Słusznie mówi!

- To jest jedyne wyjście!

- Popieramy pańskie stanowisko!

- Głosować! Głosować!

- Bravo, sędzia główny!

- Dziękuję panom - powiedział Ferdynand, kiedy się nieco uciszyli. - Proszę zgłaszać kandydatury.

- Agawa! - podał ktoś pierwszą kandydaturę.

- Karampuk! - podrzucił ktoś inny.

- Zefir!

- As!

- Mika!

- Magik!

- Donna!

- Wis!

- Mercedes!

- Smok!

- Kuka!

- Dosyć! - zawołał Ferdynand. - Dziesięć kandydatur zupełnie wystarczy. Zarządzam ściśle tajne głosowanie.

Sędziowie porozchodzili się po zakamarkach parku i kryjąc się jeden przed drugim, wpisywali na przygotowanych karteczkach imiona swoich pupili.

Ostatecznie zwyciężył Magik, zwany również Mag. Kiedy Ferdynand podszedł do niego, żeby mu powinszować pierwszej nagrody, w oczach Maga pojawiły się łzy. Potężne wilczyisko rozplakało się jak małe dziecko. Był to widok, jakiego nie pamiętają najstarsze psy.

- Serdecznie ci gratuluje, Mag - powiedział Ferdynand. - Daj łapę!

Mag przysiadł, oderwał lewą łapę od ziemi, ale kiedy Ferdynand nieznacznie mrugnął doń prawym okiem, szybko postawił ją z powrotem na ziemi i zdecydowanym ruchem podał mu łapę prawą.

- Doskonale! - pochwalił go Ferdynand. - Widzę, że myślisz. W imieniu sądu konkursowego wręczam ci pierwszą nagrodę. Prócz medalu otrzymujesz jeszcze dwa kilo wędzonych zeberek. Czy chcesz je zjeść na miejscu, czy weźmiesz sobie do domu?

- Wolałbym do domu - odparł Mag, ale takim językiem, że zrozumiał go tylko Ferdynand. - W domu zjemy je razem z żoną. Ona nie mogła przyjść na wystawę, bo ma okropny katar.

- Jestem przekonany, że będą jej smakowały - powiedział Ferdynand tym samym językiem, bo znał wszystkie psie języki. - Smacznego i do widzenia! Pozdrów ode mnie żonę - powiedział na odchodnym. - Życzę ci wszystkiego najlepszego.

Przed zamknięciem Wystawy zorganizowano jeszcze jeden konkurs. Tym razem psy miały wybrać

najmilszego spośród zwiedzających. Niektórzy goście wiedzieli o tym i już zawnazasu starali się pozyskać dla siebie jak największą ilość psów. Kręcili się po całej Wystawie i ciągle podsuwali temu czy innemu psu to jakiś cukierek, to parówkę, to pierniczek, a wszystko w tym celu, żeby sobie zaskarbić ich względy. Niektórzy podobno agitowali nawet schabowymi kotletami.

Na znak dany przez Pana Prezesa wszystkie psy miały zostać spuszczone ze smyczy. Zwycięzca miał być ten zwiedzający, wokół którego zbierze się największa ilość psów.

- Fffffffiiiiiiiiuuuuuuuu! - rozległ się gwizdek Pana Prezesa.

Psy, ile ich było, rzuciły się wszystkie w jedną stronę. W stronę stojącego w cieniu pod kasztanem krzeselka, na którym przysiadł sobie na chwilę zmęczony co nieco Ferdynand.

Xii

Wśród wiwatów i okrzyków wręczono Ferdynandowi wielki złoty medal. Pan Prezes osobiście przypiął go do kłapy Ferdynandowego ubrania. Miał przy tym minę niesamowicie uroczystą i jękał się sto razy bardziej niż zwykle.

- Je-je-je-je-sssssss-tes-tes-teś-mmmmmmmmmmy du-du-du-du-du-du-du-du-du...

- ...mni! - wrzasnęli wszyscy zebrani.

- Wła-wła-wła-wła-wła-wła-wła...

- ...śnie! - dokończył tłum.

- Z pa-pa-pa-pa-pa-pa-pa...

- ...na!

- Wła-wła-wła-wła-wła-wła-wła...

- ...śnie! - znów dokończyli widzowie.

- Nnnnnnnnnnnnnnnnieeeeeeeeeech nnnnnnnnnnnnnnaaaaaaa-na-na-na-nam ży-ży-ży-ży-ży-ży...

- ...je! - zawołano jak jeden mąż.

- Wła-wła-wła-wła-wła-wła-wła... - zaciął się na zakończenie Pan Prezes.

- ...śnie! - dodali ze śmiechem zebrani i zaczęli wiwatować na cześć zdobywcy pierwszego miejsca.

Ogółem wzniesiono tego dnia na cześć Ferdynanda 3128 okrzyków, w tym:

1265 ``Hura!``,

828 ``Niech żyje!``,

654 ``Wiwat!``,

129 ``Siup!``,

55 ``Sto lat!``,

49 ``Brawo!``

i 48 ``Hop, hop!``

Pozostałe 100 okrzyków nie zostało zidentyfikowane, niemniej jednak były one w najlepszym gatunku i zawierały ogromny ładunek uczucia.

Powoli Park zaczął pustoszeć.

Dyrektor podszedł do rozpromienionego Ferdynanda, jeszcze raz mu pogratulował i delikatnie powiedział:

- Może byśmy tak już stąd poszli...

- Kiedy tu tak przyjemnie - powiedział Ferdynand rozmarzonym głosem.

- Pewnie, że przyjemnie, ale musimy wracać do hotelu. W każdym razie ja muszę wracać, panie Ferdynandzie. Niech pan nie zapomina, że jestem dyrektorem hotelu.

- A prawda, prawda - przytaknął Ferdynand.

- No to chodźmy - powiedział dyrektor.

- Chwileczkę, panie dyrektorze - zatrzymał go Ferdynand. - A winda?

- Zupełnie o niej zapomniałem.

- Przecież musimy ją zabrać. Nie możemy jej tu tak zostawić.

- Ale jak ją zabrać? - spytał dyrektor.

- Może tam jest jeszcze jakiś dodatkowy guzik, którego nie zauważyliśmy, a który po naciśnięciu sprawia, że winda wraca na swoje miejsce między schodami?

- Niech pan mi da spokój z guzikami. Nie chcę słyszeć o żadnych guzikach! - zawołał dyrektor.
- No to co zrobimy? Nie wypada zostawić jej tak na pastwę losu.
- Czy nie za bardzo zawraca pan sobie głowę tą całą windą? - zapytał dyrektor z nutką ironii w głosie.
- Powiem panu szczerze - odparł Ferdynand - że przywiązałem się do tej windy. Ostatecznie przeżyliśmy razem kilka przygód.
- Ja nie mam zielonego pojęcia, co z nią zrobić.
- Może by ją wziąć do taksówki?
- Nie wejdzie.
- Już wiem! - zawołał Ferdynand. - Weźmiemy ją do dorożki.
- Jak pan chce - powiedział obojętnie dyrektor.
- Pojedziemy sobie razem z nią dorożką! - powtórzył Ferdynand, podskakując z radości.
- Nie wszyscy - sucho oświadczył dyrektor.
- Jak to: nie wszyscy? - zapytał Ferdynand.
- Ja nie pojedę! - powiedział dyrektor. - Nie mam zamiaru wystawiać się na pośmiewisko, jadąc w jednej dorożce z windą.
- A cóż to złego?
- Czy ja mówię, że to coś złego? - powiedział dyrektor. - Nic podobnego. To nie jest nic złego, to jest tylko niepoważne. Człowiek poważny nie może robić rzeczy niepoważnych! Rozumie pan, panie Ferdynandzie?
- Rozumiem, ale nie bardzo - powiedział Ferdynand. - Pan się pewnie boi, że to będzie śmiesznie wyglądało...
- Bo będzie! Jestem przekonany, że następnego dnia wszystkie łobuziaki krzyczałyby za mną na ulicy:
- \\
- ``Na spacerek jedzie drynda@ Pan dyrektor ze swą windą!''@
- \\
- Śliczny wierszyk! - zawołał Ferdynand. - Ach, jaki śliczny wierszyk! Nie ma pan pojęcia, co ja bym dał, żeby za mną tak wołali na ulicy.
- Uważa pan, że to zabawne?
- Po prostu urocze, panie dyrektorze. Jak pan nie chce, to niech pan nie jedzie. Ja pojedę sam.
- Ja bym nawet z panem pojechał, wie pan - zaczął się tłumaczyć dyrektor - ale doktor poradził mi, żebym więcej spacerował. Potrzebuję, wie pan, dużo ruchu, a dziś właściwie cały czas jeździłem tą nieszczęsną windą. Nie pogniewa się pan na mnie, kochany panie Ferdynandzie, jeśli ja z panem nie pojedę, prawda?
- Pewnie, że nie pogniewam się na pana, panie dyrektorze - odparł Ferdynand. - Za bardzo pana lubię. Niech mi pan tylko powie - tu Ferdynand ściszył głos - czy oni naprawdę będą za mną krzyzczeć?
- Bardzo często krzyczą, jak się na kogoś uwezma.
- A co trzeba zrobić, żeby się uwzięli?
- Trzeba wpaść im w oczy.
- A co trzeba zrobić, żeby wpaść im w oczy?
- Trzeba zwrócić ich uwagę.
- A co trzeba zrobić, żeby zwrócić ich uwagę?
- Trzeba im się narazić albo...
- Co albo?
- Albo na przykład śmiesznie wyglądać.
- A czy ja wyglądam śmiesznie?
- Dla mnie nie.
- A dla nich? - zapytał drżącym głosem Ferdynand.
- Trudno mi, panie Ferdynandzie, zabierać głos w ich imieniu - powiedział dyrektor z pewnym namysłem - ale wydaje mi się, że dla nich może pan wyglądać śmiesznie, szczególnie jadąc dorożką



i do tego obok windy... Cha, cha, cha, to może być naprawdę śmieszne...

- Dziękuję panu! - wrzasnął Ferdynand i zaczął ścisnąć dyrektorowi rękę. - Dziękuję panu, że pan się ze mnie śmieje! To znaczy, że oni też się będą śmiać.

- Bardzo możliwe, cha, cha, cha... - przytaknął dyrektor.

- To znaczy, że zwrócę ich uwagę - powiedział Ferdynand.

- Niewykluczone, cha, cha, cha!

- To znaczy, że wpadnę im w oczy...

- Wielce prawdopodobne, cha, cha, cha!

- To znaczy, że mogą się na mnie uwziąć...

- Szczerze panu tego życzę, jeśli panu na tym zależy, cha, cha, cha!

- A jak się uwezma, to będą za mną na ulicy krzyczeć:

\\

``Na spacerek jedzie dryndą@ Pan Ferdynand ze swą windą?!@

\\

- Powinni krzyczeć, cha, cha, cha!

- Nie ma pan pojęcia, jak ja marzę, żeby za mną tak właśnie krzyczeli!

- Cha, cha, cha, cha! - śmiał się dyrektor. - Życzę panu tego z całego serca. Niech pan sobie sprowadzi dorożkę, a ja tymczasem pójdę powoli piechotką. Spotkamy się w hotelu, panie Ferdynandzie. Do zobaczenia! Chodź, Mercedes! - zawołał na swego ulubionego jamnika, który nagle skądś się zjawił. - Nie bądź taki smutny, że nie zająłeś pierwszego miejsca. Na następnej wystawie będzie lepiej.

Dyrektor z Mercedeseem znikli za drzewami, kiedy Ferdynandowi przypomniało się, że nie ma przy duszy ani grosza.

- Panie dyrektorze! - wrzasnął i w kilku susach znalazł się obok niego. - Panie dyrektorze, niech mi pan da parę złotych na tę całą dorożkę. Mam co prawda wielki złoty medal, ale dorożkarz może nie mieć akurat przy sobie malutkich złotych medali, żeby mi wydać resztę...

Xiii

Ferdynand poszedł szukać dorożki.

Nie była to łatwa sprawa. Z każdym rokiem dorożek jest coraz mniej na świecie. Chowają się gdzieś po jakichś starych, zapadłych szopach i przychodzi wreszcie taki dzień, że nie chce im się już wyjeżdżać na miasto. Zresztą coraz gorzej czują się pomiędzy autobusami, samochodami i motocyklami. ``Po co to się tak spieszyć!" - mruczą pod nosem w takt końskiego klap-klap-klap-klap-klap-klap...

Na szczęście, na postoju niedaleko parku stała jakaś samotna dorożka. Dorożkarz spał sobie na koźle, nasunawszy głęboko na oczy swój czarny dorożkarski melonik, a koń spokojnie wyjadał obrok z worka zawieszzonego na szyi.

- Proszę pana - powiedział Ferdynand.

Dorożkarz ani drgnął.

- Proszę pana - powtórzył głośniejszym głosem Ferdynand.

Dorożkarz spał dalej.

- Proszę pana! - Ferdynand prawie krzyknął. Dorożkarz nic.

Dopiero kiedy Ferdynand włożył na koziół i wrzasnął mu to: ``Proszę pana!" prosto do ucha, dorożkarz powoli odemknął jedno oko, potem drugie, potem odsunął do tyłu melonik, spojrzął na Ferdynanda i zapytał ochryplym głosem:

- Czego?

- Czy można z panem jechać? - zapytał Ferdynand.

- A dlaczegoż by nie? - odparł dorożkarz. - Tylko zdejmuje koniowi spizarnię i już jedziemy. Niech pan siada.

Zlął z koźła, przetał oczy, następnie zdjął koniowi worek z obrokiem i założył mu wędzidło.

- Dokąd polecimy? - zapytał, wracając na swoje poprzednie miejsce i biorąc do ręki bat.

- Do Parku - odpowiedział Ferdynand. - Musimy stamtąd zabrać jedną rzecz.
- Pewnie mamusię - powiedział dorożkarz przez plecy. - Wio, stary!
- Dorożka ruszyła.
- Nie zgadł pan - powiedział z uśmiechem Ferdynand. - Nie chodzi o mamusię.
- To może babcię...
- Ani babcię.
- To może jakąś ciocię...
- Ani ciocię.
- To może coś z nieżyjących przedmiotów...
- Na przykład co? - zapytał Ferdynand.
- Na przykład jakąś walizkę albo kufer...
- Ani walizkę, ani kufer.
- To może beczkę piwa...
- Ani beczkę piwa.
- Wie pan, że to ciekawe - powiedział dorożkarz. - Co też pan chce zabrać z tego parku? Róże?
- Nie, nie róże.
- A może ławkę?
- Nie, nie ławkę.
- No to wie pan, że nie wiem - powiedział dorożkarz swoim ochrypłym głosem.
- Ja panu pomogę - powiedział Ferdynand. - To się nazywa na ``w"...
- Wodotrysk?
- Nie!
- Weranda?
- Nie. Weranda nie zmieściłaby się zresztą do dorożki. Druga litera jest ``i", a trzecia ``n" - podpowiedział Ferdynand.
- Wino! - zawołał triumfalnie dorożkarz i oczy mu zabłyśły, bo lubił się czasem napić.
- Nie zgadł pan. Chodzi o windę.
- Że co, proszę? - zapytał dorożkarz ze zdumieniem.
- Windę musimy zabrać. Nie wie pan, co to jest winda? Takie coś, co jeździ z góry na dół pomiędzy schodami.
- Panie szanowny, co to jest winda, to ja wiem, ale jak coś takiego brać do dorożki?
- To nie jest duża winda - powiedział Ferdynand. - Dwuosobowa... Najwyżej trzyosobowa...
- Posadzimy ją z tyłu, a ja mogę usiąść przy panu...
- A gdzie ona jest?
- W Parku, przywiązana do drzewa.
- Przywiązana? - zdziwił się dorożkarz.
- Żeby nie uciekła do góry.
- To co, to ona sama tak fruwa?
- Jeszcze jak.
- Coś takiego! Aż się wierzyć nie chce. Wio, stary!
- Klap-klap-klap-klap-klap-klap-klap-klap...
- Zajechali pod drzewo, do którego przywiązana była winda.
- Ferdynand wyskoczył z dorożki, poklepał windę i odwiązał.
- Niech mi pan pomoże ją załadować! - krzyknął.
- Sapiąc i stękając, bo była dość ciężka, umieścili ją wreszcie na tylnym siedzeniu.
- Tylko bez żadnych głupich kawałów - powiedział do niej Ferdynand. - Żeby ci się nie zachciało uciekać do góry. Wracamy do domu.
- Winda ani myślała uciekać. Była bardzo zadowolona, że wraca do hotelu i że jak hrabina przejedzie w dorożce przez całe miasto. Ferdynand usiadł obok dorożkarza.
- Czy może mi pan dać do potrzymania lejce albo bat? - zapytał błagalnym głosem.
- Bierz pan i jedź pan - powiedział dorożkarz. Ferdynand ujął lejce, machnął batem i zawołał:
- Wio, stary!

Klap-klap-klap-klap-klap-klap-klap-klap-klap...

W śródmieściu Ferdynand oddał lejce dorożkarzowi, a sam zaczął się rozglądać na wszystkie strony.

- Czego pan tak szuka? - zapytał dorożkarz.
- Patrzę, czy nie ma gdzie łobuziaków.
- Boi się pan?
- Nic podobnego, tylko myślałem, że będą za mną wołać.
- Ale nie wołają, znaczy się wszystko w porządku.
- Nie bardzo - powiedział Ferdynand zmartwionym głosem. - Ja właśnie marzę o tym, żeby wołali.
- To musi ich pan jakoś zaczepić. Widzi ich pan tam? Tam za rogiem parę stoi.
- Błagam pana - powiedział Ferdynand - niech pan tam podjedzie.

Klap-klap-klap-klap-klap-klap-klap-klap-klap...

Dorożka przejechała, ale oni nie zwrócili nawet na nią uwagi.

- Niech pan się zatrzyma - powiedział zrozpaczony Ferdynand i wyskoczył z dorożki.

Szybko podbiegł do stojących pod ścianą wyrostków i zapytał:

- Czemu za mną nic nie wołacie?
- Bo nam się nie chce - powiedział jeden z nich.
- Ja bym wam jednak radził wołać za mną, kiedy jadę dorożką - powiedzie groźnie Ferdynand i wyszczerzył zęby.

Wyrostkom zrobiło się nieswojo.

- A co pan sobie życzy, żeby za panem wołać? - zapytał grzecznie inny.
- Życzę sobie, żebyście stale za mną wołali:

\\

Na spacerek jedzie dryndą@ Pan Ferdynand ze swą windą!@

\\

- Owszem, bardzo ładny wierszyk - przytaknęli. - Możemy krzyczeć, czemu nie! A od kiedy, proszę pana?

- Od zaraz. Jazda! Lećcie za dorożką i drzyjcie się ile wlezie. Jak nie, to tak was pogryzę, że wam się wszystkiego odechce.

Wskoczył do dorożki, która natychmiast ruszyła.

Klap-klap-klap-klap-klap-klap-klap-klap-klap...

Ludzie otwierali na oścież okna, wybiegali na balkony, zatrzymywali się na trotuarach i ze zdumieniem obserwowali jadącą dorożkę, w której na tylnym siedzeniu rozwalala się winda, a na koźle uśmiechnięty ze szczęścia Ferdynand i strzelający z bata dorożkarz.

Z tyłu za dorożką biegła grupa łobuziaków, drących się na cały głos:

\\

Na spacerek jedzie dryndą@@ Pan Ferdynand ze swą windą!@

Xiv

Zajechali przed hotel ``Pod Wesołym Smokiem''. Winda, kiedy tylko zobaczyła znajomy gmach, natychmiast wskoczyła na swoje miejsce. Hop! i znalazła się znów między schodami. Od razu w hotelu zrobiło się weselej. Wszyscy się ogromnie ucieszyli. I portier, i służba, a najwięcej goście, którzy mieszkali na najwyższych piętrach. Co tu dużo gadać: hotel bez windy jest jak stół bez nóg, jak chleb bez masła, jak herbata bez cukru, jak wazon bez kwiatów, jak fortepian bez klawiszy, jak woda sodowa bez gazu.

Ferdynand wykapał się, a potem zaraz poszedł do łóżka. Był tak zmęczony tymi wszystkimi przygodami, że zasnął w mgnieniu oka.

Za oknem tymczasem zaczął padać deszcz.

Pierwszego dnia padał delikatnie, od czasu do czasu strącając z jakiejś chmurki niewielką kropelkę wody na ziemię. Wyglądało to mniej więcej tak:

\\

deszcz  
deszcz  
deszcz  
deszcz  
deszcz  
deszcz  
deszcz  
deszcz  
deszcz  
deszcz  
deszcz  
deszcz  
deszcz  
deszcz  
deszcz  
deszcz  
deszcz  
deszcz  
deszcz  
deszcz"

\\

Drugiego dnia wiatr przywiał kilka małych chmurek i deszcz stał się gęstszy:

\\\

deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz  
deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz  
deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz  
deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz  
deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz  
deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz

\\

Trzeciego dnia wiatr zaczął wiać z lewej strony:

\\

deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz  
deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz  
deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz  
deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz  
deszcz deszcz deszcz

\\

Czwartego dnia wiatr się zmienił i zaczął wiać z prawej strony:

\\

deszcz  
deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz  
deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz  
deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz  
deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz deszcz  
deszcz

\\

Piątego dnia Ferdynand przewrócił się na drugi bok. Deszcz padał coraz bardziej. Wielkie krople na zmianę z małymi kropelkami bębniły po dachach:

deszcz DESZCZ deszcz DESZCZz deszcz  
DESZCZ deszcz DESZCZ deszcz DESZCZ deszcz DESZCZ deszcz DESZCZ

deszcz

DESZCZ deszcz DESZCZ deszcz DESZCZ deszcz DESZCZZ deszcz DESZCZ  
deszcz

DESZCZ deszcz DESZCZ deszcz DESZCZ deszcz DESZCZ deszcz DESZCZ  
deszcz

DESZCZ deszcz DESZCZ deszcz DESZCZ

\\

A wreszcie szóstego dnia nastąpiło oberwanie chmury. Potoki deszczu lały się z nieba na ziemię:

\\

DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ

DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ

DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ

DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ

DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ

DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ

DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ

DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ

DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ

DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ

DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ

DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ DESZCZ

\\

Wiadomo, że podczas deszczu najlepiej się śpi. Żadna kołysanka tak nie usypia, jak monotony odgłos padającego deszczu. Ferdynand spałby prawdopodobnie jeszcze bardzo długo, może tydzień, może dwa, a może nawet trzy, gdyby nie to, że nagle nadciągnęła wielka, szara chmura i zaczął padać grad:

\\

grad grad grad grad grad

grad grad grad grad grad

grad grad grad grad grad

grad grad grad grad grad

grad grad grad grad grad

GRAD GRAD GRAD GRAD GRAD

GRAD GRAD GRAD GRAD GRAD

GRAD GRAD GRAD GRAD GRAD

GRAD GRAD GRAD GRAD GRAD

GRAD GRAD GRAD GRAD GRAD

GRAD GRAD GRAD GRAD GRAD

\\

Ferdynanda obudziło gwałtowne pukanie w okno.

- Kto tam? - zawołał zaspanym głosem.

Nie było odpowiedzi.

- Kto ma śmiałość budzić mnie, kiedy mi się tak dobrze śpi?! - wrzasnął wściekle Ferdynand.

Znów nikt nie odpowiedział. Słysząc było tylko nieustanne walenie w szyby. Ferdynand przetarł oczy, spojrzął w okno i zrozumiał, że to grad go obudził.

- Trudno - mruknął sam do siebie - trzeba wstawać.

Nacisnął dzwonek. Po chwili zjawiała się pokojówka.

- Dzień dobry panu! - powiedziała. - Jak się panu spało?

- Bardzo dobrze - odparł Ferdynand.

- W naszym hotelu jeszcze nikt tak długo nie spał jak pan.

- Co pani powie! A jaki jest rekord hotelu?

- Pewien skrzypek spał po koncercie dwie doby bez przerwy.

- A to śpioch! - zawołał Ferdynand.

- Z pana większy - powiedziała.
  - Ze mnie? - zdumiał się Ferdynand.
  - No, pewnie. Pan spał okrągły tydzień.
  - Co?!
  - Tak, tak! Równiutki tydzień.
  - Niemożliwe.
  - Możliwe. Jest pan teraz rekordzistą naszego hotelu.
  - Wobec tego poproszę o śniadanie! - zawołał Ferdynand. - Za wszystkie siedem dni!
- Pokojówka złapała się za głowę i wybiegła z pokoju. Zanim zjawiała się z powrotem, Ferdynand zdążył się umyć i ubrać.
- Ma pan tutaj czternaście jajek na miękko, dwadzieścia jeden bułeczek, siedem szklanek mleka, siedem filiżanek herbaty, kostkę masła i słoik marmolady - powiedziała. - A tutaj jest rachunek.
  - Jaki rachunek? - zapytał zaniepokojony Ferdynand.
  - Rachunek za pobyt w hotelu i za śniadania - wyjaśniła z uśmiechem.
  - Proszę to zostawić, później się tym zajmę - powiedział Ferdynand takim tonem, jakby miał wszystkie kieszenie wypchane pieniędzmi.
  - Życzę panu smacznego - powiedziała pokojówka i wyszła.

Ferdynand zabrał się do jedzenia.

„Najpierw jedzenie - pomyślał sobie - potem będziemy się martwić, co zrobić z tym rachunkiem”.  
Może to brzmieć nieprawdopodobnie, ale przysięgam, że to prawda: Ferdynand zjadł wszystko do czysta.

- Zobaczmy teraz ten rachunek - mruknął odstawiając wylizany dokładnie słoik po marmoladzie. - Ile?! Siedemset dwadzieścia sześć złotych osiemdziesiąt groszy?! Ja mam to zapłacić?! Ja?! Przyjaciel dyrektora?! Rekordzista hotelu „Pod Wesołym Smokiem”?! Przecież ja nie mam ani grosza.

Podszedł do okna, otworzył je i spojrzał w dół.

- Wysoko! Brrr! Co tu robić?

Grad przestał padać. Ferdynand błyskawicznie rozebrał się do naga. Z ubrania zrobił zgrabne zawiniątko i wyrzucił je przez okno. Potem wychylił się, żeby zobaczyć, gdzie spada.

Doskonale! Spadło na niewielki skwerek, który znajdował się na wprost hotelu po drugiej stronie ulicy.

Ferdynand zamknął okno, rozejrzał się ostatni raz po pokoju i na czworakach wybiegł na korytarz, a potem w dół po schodach aż do hotelowego hallu.

Żeby być w porządku ze swoim sumieniem, podszedł do biurka, przy którym urzędował portier, i wspiął się na nie łapami.

- Chciałbym - powiedział - chciałbym...

Portier zerwał się oburzony.

- Poszedł stąd! - zawołał. - Już cię tu nie ma!

- Nie, to nie! - odparł dumnym głosem Ferdynand i wybiegł przez główne drzwi. - Chciałem to jakoś załatwić - mruknął do siebie - ale mi nie dali. Nie będę się narzucał.

Chwycił w zęby zawiniątko leżące na skwerze pomiędzy astrami i zniknął w jakiejś małej ucieszczanej bramie. Nie minęło wiele czasu, a z bramy wyszedł elegancki pan i szybko wmieszał się w tłum.

Xv

Po niepogodzie, jak to często bywa, zrobiła się piękna pogoda.

Idąc przez miasto, Ferdynand wesoło sobie pogwizdywał.

- Fiu-fiu, jaki śliczny dzień dzisiaj mamy, fiu-fiu-fiu... Słoneczko przyjemnie grzeje, fiu-fiu...

Wszyscy dokoła są tacy weseli, fiu-fiu-fiu... I ja jestem wesoły, fiu-fiu-fiu... I ptaszki sobie na drzewach fiu-fiu... I listki sobie cichutko fiu-fiu-fiu... Co ja teraz mam ze sobą zrobić, fiu-fiu-fiu-fiu? Nie będę się takimi rzeczami martwił. Na razie jest mi dobrze, fiu-fiu... A co będzie później -

zobaczymy, fiu-fiu... W ogóle nie należy się przejmować, fiu-fiuuuuuuuuuuuuu!

Ale w wielkim mieście nie można nic nie robić.

Ferdynand, sam nie wiedząc kiedy, zaczął je gruntownie zwiedzać. Najpierw poszedł do jednego muzeum, potem do drugiego muzeum, potem do trzeciego muzeum, potem postąpił chwilę przed wejściem do czwartego muzeum, ale nie wszedł do środka, bo miał już dosyć muzeów.

Następnie zajął się pomnikami. Obejrzał kolejno:

pomnik burmistrza,

pomnik generała,

pomnik muzyka,

pomnik poety,

pomnik króla,

pomnik królowej

i parę jeszcze innych pomników, wśród których były dwa konne.

„Że też konie tak często są na pomnikach... - pomyślał sobie Ferdynand. - A nikomu nie przyjdzie do głowy wyrzeźbić króla na psie. Czy to jest sprawiedliwe? Nie jestem taki pewien, czy nie wyglądałoby to o wiele ładniej. Pies to przecież szlachetne zwierzę, w dodatku o wiele bliższy przyjaciel człowieka niż koń. Bo czy widział kto na przykład kiedykolwiek, żeby koń spał z człowiekiem w jednym łóżku? A psy śpią. Znam wiele takich przykładów. O koniu natomiast nigdy nie słyszałem. Ani mój ojciec, ani dziadek, ani pradziadek, ani nikt, nikt, nikt”.

Kiedy już Ferdynand obejrzał wszystkie pomniki, uwagę jego zwróciły uliczne wagi, na których ważyli się ludzie. To było coś cudownego. Wchodziło się na niewielką platformę, a wtedy wskazówka zaczynała się przesuwac po podziałce i zatrzymywała się wreszcie na jakiejś liczbie. Ta liczba wskazywała właśnie wagę tego, kto stał na platformie.

Ferdynand gorąco zapragnął się zważyć. Wszedł na wagę zaraz po jakiejś tęgiej paniusi. Stał na platformie - nic. Podskoczył - nic. Podniósł jedną nogę w górę - nic. Podniósł drugą nogę w górę - nic. Stał bokiem - nic. Wskazówka ani drgnęła.

Zszedł i spróbował jeszcze raz.

„Może źle wszedłem za pierwszym razem - pomyślał sobie. - Może to trzeba wejść lewą nogą, a nie prawą?”

Niestety, lewą nogą też niewiele pomogło. Zdenerwowany zaczął podskakiwać coraz to wyżej i wyżej, żeby siłą zmusić upartą wskazówkę do ruszenia z miejsca.

Powoli dokoła Ferdynanda zaczęło się robić zbiegowisko.

- Pewnie znów się zacięła - powiedział jakiś pan w zielonej marynarce. - Stale się zacinają...

- Niech pan stanie bardziej z przodu - poradziła dobronudnym głosem starsza, siwa pani.

- S psodu, s psodu... - zaczął seplenić sprzedawca lodów. - S psodu to nic nie pomoże. Psepraszam pana, psecies każdy wie, że tseba stanąć s tyłu...

- Najlepiej podskoczyć trzy razy - wtrącił pan mówiący basem.

- A dlaczego nie cztery? - zapiszczała stojąca obok niego pani z parasolką.

- Po co to panu potrzebne? - zwrócił się do Ferdynanda pan w czarnym kapeluszu. - I tak się pan nie dowie, ile naprawdę pan waży. Każda z tych wag pokazuje inaczej.

Ferdynand był zupełnie skołowany. Każdy doradzał mu co innego. Wreszcie z tłumu odezwał się jakiś głos:

- A pięćdziesiąt groszy pan włożył?

- Jakie pięćdziesiąt groszy? - spytał zdumiony Ferdynand.

- Jak to: jakie? Zwyczajne, polskie.

- A, przepraszam, gdzie miałem włożyć? - jękając się zapytał Ferdynand.

- Tu. W tę szparkę.

- Nie włożyłem - powiedział otwarcie Ferdynand.

- Pewnie nie ma pan drobnych... - zawołano ze zrozumieniem. - Wobec tego musi pan iść i rozmiąć.

- Rzeczywiście... - powiedział Ferdynand. - Zupełnie zapomniałem, że nie mam drobnych... „Ani grubych” - dodał w myśli. - Przepraszam państwa, zaraz skoczę i rozmięję.

Z szybkością, której nikt by się po nim nie spodziewał, Ferdynand skoczył z wagi i zniknął za plecami otaczających wagę osób. Ferdynand był już na drugim końcu miasta, a oni ciągle stali wokół wagi i mówili do siebie: ``Co też on tak długo robi?..."

Ferdynand szedł sobie, pogwizdywał i rozmyślał:

``Fiu-fiu, teraz już wiem, jak to jest z tymi wagami. Trzeba mieć tylko pięćdziesiąt groszy, fiu-fiu... Ale skąd ja wezmę pięćdziesiąt groszy, fiu-fiu-fiu... Mam złoty medal, fiu-fiu-fiu, a nie mam pięćdziesięciu groszy... Czy to nie zabawne?..."

Nagle spojrzął w dół na chodnik. Coś błyszczało; schylił się i podniósł to coś nieznacznym ruchem. ``Fiu-fiu, ciekawe, co to takiego?" - myślał sobie idąc dalej jak gdyby nigdy nic.

Popatrzył i mało nie oszalał z radości. To było - pięćdziesiąt groszy.

Natychmiast pobiegł do najbliższej wagi, stanął na niej, wrzucił w otwór swoje jedyne, cudem znalezione pięćdziesiąt groszy i z rozkoszą, której nie da się wyrazić słowami, zaczął obserwować wskazówkę, przesuającą się po coraz to wyższych liczbach podziałki.

- Zupełnie przywoita waga - mruknął do siebie, z żalem schodząc z platformki. - Ani nie jestem za chudy, ani za gruby. Ważę w sam raz. Fiu-fiu-fiu, ciekaw jestem tylko, czy na innych wagach będę ważył tyle samo, co na tej? Trzeba by to, fiu-fiu-fiu, sprawdzić. Okazuje się, że ludzie gubią, fiu-fiu-fiu, pieniądze. Spróbujemy więc ich, fiu-fiu, szukać.

I spuściwszy głowę w dół, Ferdynand zaczął krążyć po ulicach miasta wypatrując zgubionych pieniędzy. Pochylał się przy tym coraz bardziej i nawet sam nie zauważył, kiedy dla wygody zaczął biegać na czworakach z nosem przy chodniku.

Ilekróć znalazł pięćdziesiąt groszy, pędem biegł do najbliższej wagi, wrzucał monetę w przeznaczony na ten cel otwór i z napięciem śledził wskazówkę. Zależnie od tego, co wskazówka wskazywała, rozlegał się triumfalny okrzyk Ferdynanda:

- Schudłem!!!

Albo:

- Utyłem!!

Xvi

Ważąc się tak co chwila, Ferdynand zaszedł na dworzec kolejowy. Na dworcu jak to zwykle na dworcu, panował ogromny ruch. Wszyscy się gdzieś spieszyli. Jedni w jedną stronę, a drudzy w drugą. Bagażowi nosili bagaże, kasy sprzedawały bilety, w kioskach można było kupić gazetę na drogę, a w bufecie napić się lemoniady. Przy wejściu na peron stali bileterzy i dziurkowali bilety. Czynność ta ogromnie się Ferdynandowi podobała.

``Żeby mieć taki dziurkacz! - pomyślał sobie. - To musi być bardzo przyjemna rzecz tak dziurkować i dziurkować, i dziurkować..."

Potem postął przez chwilę obok przechowalni bagażu. Patrzył, jak podróżni oddają do przechowalnia swoje walizki, żeby z nimi nie chodzić po mieście. Na walizkę naklejano karteczkę z odpowiednim numerem, wydawano podróżnemu kwit na dowód, że oddał bagaż, i kładziono walizkę na półce, gdzie sobie spokojnie czekała na powrót właściciela.

Ponieważ zmęczenie zaczęło ogarniać Ferdynanda, Ferdynandowi przyszła do głowy pewna myśl.

- Może by się tak oddać do przechowalni? - powiedział sam do siebie. - Jestem zmęczony, a nie bardzo mam co ze sobą zrobić. Nakleją mi karteczkę i położą na półce. Przynajmniej będę się mógł porządnie wyspać.

Podszedł do urzędnika stojącego po drugiej stronie lady.

- Chciałbym nadać coś na przechowanie - powiedział.

- Proszę bardzo - odparł urzędnik, uśmiechając się uprzejmie. - Gdzie pan ma bagaż, bo nie widzę, żeby pan coś trzymał w ręku?

- To nie chodzi o bagaż - powiedział powoli Ferdynand.

- Oooo? - zdziwił się urzędnik. - A cóż to takiego chciałby pan oddać do przechowalni?

Ferdynand położył się jak długi na ladzie i robiąc skromną minę, powiedział:

- Siebie.



Urzędnik nosił okulary. Ze zdumienia zdjął je, przetarł chusteczką i ponownie założył na nos.

- Nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi...

- Chciałbym się oddać do przechowalni - powiedział Ferdynand, leżąc cały czas na ladzie i ujmująco patrząc z dołu na urzędnika.

- Pan???

- Ja.

- Pan żartuje?

- Nic podobnego! - zawołał Ferdynand i uderzył się w piersi na dowód, że mówi prawdę i że nie żartuje.

- Przykro mi bardzo - powiedział urzędnik - ale to jest niemożliwe.

- Dlaczego niemożliwe? Przecież przyjmujecie na przechowanie kufry, walizki, kosze i różne inne bagaże. Proszę mnie potraktować jak bagaż. Jestem ogromnie zmęczony i chciałbym się przespać.

- Niestety - powiedział urzędnik. - Nie mogę pana przyjąć. Nie przyjmujemy ludzi na przechowanie.

Ferdynand zerwał się na równe nogi.

- Mój złoty! - wrzasnął. - Mój złociuteńki! Niech pan to jeszcze raz powtórzy!

- Ludzi na przechowanie nie przyjmujemy - obojętnym głosem powtórzył urzędnik.

- Jeszcze raz! - poprosił błagalnie Ferdynand.

- Nie przyjmujemy na przechowanie ludzi.

- Ach, jak to pięknie brzmi! - delectował się Ferdynand. - Czy można pana jeszcze raz poprosić o powtórzenie tego zdania?

Urzędnik spojrział na Ferdynanda nieco z boku, tak jak się patrzy na lekkich wariatów, ale ponieważ osoba wydała mu się sympatyczna, dla świętego spokoju powtórzył:

- Nie przyjmujemy na przechowanie ludzi.

- Cudownie! Cudownie! - rozkoszował się Ferdynand. - Niech pan powtórzy chociaż ostatnie słowo!

- Ludzi... - powiedział urzędnik.

- Jeszcze.

- Ludzi!

- Jeszcze!

- LUDZI!!! - wrzasnął rozdrażniony urzędnik i zamilkł.

Ferdynand, do ostatecznych granic zadowolony, kłaniał się i wycofywał tyłem, mrucząc w kółko jedno i to samo zdanie:

- Ogromnie panu dziękuję... Ogromnie panu dziękuję... Ogromnie panu dziękuję... Ogromnie panu dziękuję...

Chodził potem po wszystkich zakamarkach dworca i zastanawiał się, gdzie by tu można odpocząć.

- Co ja mam ze sobą zrobić? - pytał się sam siebie. - Przydałoby się trochę pospać. Ale gdzie?

Musiał mówić dość głośno, bo nagle usłyszał jakiś ochryply głos:

- Jeśli chodzi że tak powiem, o przespanie, to najlepiej, że tak powiem, można się przespać w wagonach, co stoją, że tak powiem, na bocznym torze.

- Kto pan jest? - zapytał Ferdynand właściciela ochryplego głosu.

- Ja jestem, proszę pana, że tak powiem, dobry człowiek, co chce panu zrobić, że tak powiem, dobrą przysługę. Czy mogę?

Dobry człowiek wyglądał dość podejrzanie, miał głęboko nasuniętą na oczy cyklistówkę i trzymał obie ręce w kieszeniach spodni, ale Ferdynand był tak zmęczony, że było mu wszystko jedno.

- Oczywiście, że pan może - powiedział grzecznie. - Nie wiem tylko, którądy się idzie na te boczne tory.

- Nic nie szkodzi. Zaprowadzę pana.

- Pan jest bardzo uprzejmy - powiedział Ferdynand.

- Taki już jestem od urodzenia. Trzeba przecież ludziom, że tak powiem, pomagać, czyż nie?

``Ten też mówi o ludziach" - pomyślał z zadowoleniem Ferdynand, a głośno dodał: - Oczywiście, zawsze sobie powinniśmy pomagać nawzajem: my ludziom, a ludzie nam.

- Bardzo ładnie pan to, że tak powiem, ujął - powiedział ochryply głos. - No to chodźmy.

- No to chodźmy - przytaknął wesoło Ferdynand.

Szli przez perony i tory, aż doszli do jakichś wagonów stojących na uboczu. Ten w cyklistówce otworzył drzwi i wskazując Ferdynandowi drogę, powiedział:

- Pan będzie łaskaw do śródeczka.

- Dziękuję panu - odparł Ferdynand i wskoczył do przedziału. Za nim wszedł jego niedawno poznany przewodnik.

- Tutaj może pan sobie, że tak powiem, pospać, ile tylko panu się podoba.

- A te wagony przypadkiem nie odjadą?

- Może pan być zupełnie, że tak powiem, spokojny. Niech mi pan tylko powie, jak długo, że tak powiem, chce pan szanowny spać.

- Nnno, dość dłuuuuuuugo - powiedział Ferdynand ziewając - bo jestem ogromnie zmęczony.

- To bardzo dobrze - powiedział ochryply głos z zadowoleniem. - Jakby coś, że tak powiem, się stało, to pana obudzę. Śpij pan spokojnie.

I wyszedł z wagonu trzasnąwszy drzwiami.

Ferdynand wyciągnął się na miękkich poduszkach (bo na szczęście była to pierwsza klasa) i natychmiast zasnął. Usypiały go informacje płynące z dworcowych megafonów:

- Pociąg osobowy do Jakiegoś Tu odjeżdża z peronu drugiego...

- Pociąg pospieszny do Jakiegoś Tam odchodzi o dziewiątej dwadzieścia...

- Pociąg elektryczny z Jakiegoś Skądś spóźni się trzy minuty...

- Pociąg przyspieszony do Jakiegoś Gdzieś, proszę wsiadać, drzwi zamykać...

Tymczasem w ciemnym kącie między wagonami ten w cyklistówce, z ochryplym głosem, rozmawiał z drugim, który był także w cyklistówce i który miał także ochryply głos.

- Wszystko załatwione - powiedział ten pierwszy. - Już śpi w wagonie. Powiedziałem mu, że spać może, ile chce...

- Jak wygląda? - dopytywał się drugi.

- Wygląda na bogatego.

- To dobrze - powiedział ten drugi i zatarł ręce. - Bardzo lubię bogatych.

- Te wagony zaraz dołączą do pociągu - powiedział pierwszy. - Wsiądziemy sobie do przedziału, w którym on śpi, i będziemy jechać jakby nigdy nic...

- A kiedy wjedziemy w tunel...

- Właśnie, kiedy wjedziemy w tunel, to wtedy...

Dwie cyklistówki zbliżyły się do siebie na najbliższą odległość, a dwa ochryple głosy zaczęły sobie coś szeptać na ucho.

## Xvii

Zapadał wieczór. Powoli robiło się coraz ciemniej. W mroku co chwila rozbłyskiwały nowe światła. W każdym mieście najwięcej światła jest zawsze na dworcu. Zupełnie jakby wszystkie żarówki zbiegły się w to jedno miejsce i w dodatku świeciły na wyścigi.

Ale najpiękniejsze rzeczy dzieją się wieczorem na torach i na peronach. W ciemności o wiele ładniej zaczynają wyglądać wszystkie kolorowe światła - czerwone, zielone, żółte i niebieskie, których tak wiele znajduje się na każdej stacji.

Wysoko nad torami płoną kolorowe oczy semaforów i mrugają do maszynistów prowadzących pociągi. Zielone mruganie znaczy, że pociąg bezpiecznie może jechać dalej, że mu nic nie grozi, bo droga przed nim jest wolna. Natomiast kiedy z wysokiego semafora mruga do maszynisty oko czerwone, to żeby maszyniście nie wiem jak się spieszyło, musi zatrzymać się i czekać, aż czerwone oko zgaśnie i zamiast niego zacznie wesoło mrugać drugie oko semafora - śliczne, zielone oko. Zresztą czerwone oko także jest śliczne i także jest bardzo potrzebne, chociaż w pierwszej chwili zdaje się, że ono tylko utrudnia pracę pędzącym pociągom. Gdyby jednak nie było czerwonego oka, pociągi często by na siebie wpadały i działyby się wtedy różne straszne rzeczy. Przyglądanie się tym mrugającym, kolorowym światłom to naprawdę rzecz bardzo przyjemna i

jestem głęboko przekonany, że gdyby nie to, iż Ferdynand spał za wszystkie czasy, to patrzyłby i patrzył, i patrzył, i patrzył, i patrzył, i patrzył i nie mógłby się napatrzeć...

Zarówki świeciły, semafony mrugały, a tymczasem wagon ze śpiącym Ferdynandem przyczepiono do jakiegoś pociągu. Na peronie zjawił się dyżurny ruchu, spojrzął na zegarek, podniósł do góry latarkę z zielonym światłem i dał znak do odjazdu. Lokomotywa zagwizdała, stęknęła z wielkiego wysiłku i pociąg ruszył w daleką drogę. W ostatniej chwili, kiedy był już w ruchu, do wagonu, w którym spał Ferdynand, wskoczyły dwa cienie w głęboko na oczy nasuniętych cyklistówkach.

- Ten wagon?

- Ten.

- Jest?

- Śpi.

- Chrapie?

- Chrapie.

- Sam jest?

- Sam.

- Żeby tylko nikt więcej nie wszedł do tego przedziału - powiedział jeden z cieni ochryłym głosem.

- Nic się nie martw - odparł drugi cień. - Pozamykamy drzwi i nikogo nie wpuszczymy.

- Mogą się dobijać - zauważył pierwszy cień.

- Niech się dobijają - powiedział drugi. - Będziemy udawali, że śpimy.

- Wobec tego chodźmy spać. Dobranoc szanownemu panu!

- Dobranoc, dobranoc.

Usiedli. Jeden w jednym kącie, drugi w drugim. W trzecim kącie przedziału spał Ferdynand.

Czwarty kąt był pusty.

W zupełnej ciemności, jaka zapanowała w wagonie, kiedy pociąg minął okolice stacji i znalazł się w szczerym polu, błyszczały jedynie wąskie szparki oczu pod naciśniętymi daszkami dwóch cyklistówek. Od czasu do czasu światło mijanych lamp rozjaśniało na ułamek sekundy wnętrze przedziału i wtedy dwie pary oczu uparcie wpatrywały się w śpiącego Ferdynanda, a ochryple głosy zaczynały między sobą wymieniać szeptem uwagi:

- Ma bardzo porządny kapelusz...

- Popatrz tylko na te spodnie...

- Krawat też niczego...

- Koszulę także ma bardzo ładną...

- I buty...

- W sam raz na mnie...

- Za małe na ciebie...

- Mówię ci, że w sam raz...

- Nie drzyj się, bo go zbudzisz. Buty będą moje...

- Nawet byś nie umiał w takich butach chodzić...

- To zobaczysz.

Ferdynand przez sen głęboko westchnął i poprawił się w swym kącie. Cztery szparki oczu natychmiast zamknęły się i znów zapanowała cisza.

Pociąg mijał jedną stację za drugą. Przed stacjami i za stacjami szybko przelatywał po zwrotnicach, koła wagonów wołały w pośpiechu: ``Jak się macie! Jak się macie! Jak się macie!'' i wpadały na prostą drogę.

- Ciekaw jestem - odezwał się po chwili jeden z cieni - czy ma przy sobie pieniądze.

- Chyba ma.

- Skąd wiesz?

- Tacy zawsze mają.

- A zegarek?

- Pewnie, że ma.

- Kiedy na ręce nie widać...

- Bo kieszonkowych zegarków nie nosi się na ręce.  
- Kieszonkowe zegarki - szept jeszcze się zniżył, tak że był ledwo uchwytny lubią być złote...  
Zobaczę!

- Zostaw! - powiedział rozkazującym szeptem drugi. - Wszystko zepsujesz. Zaraz będzie tunel...  
- Ja tylko dotknę przez kamizelkę...  
- Zostaw, mówię ci! Jak wjedziemy w tunel, to zaczniemy.

W ciszy, która nastąpiła, słyszeć było tylko rytmiczne pogaduszki kół. Uparcie, jednakowo, monotonicznie, wystukiwały koła ten sam rytm.

Nagle zupełnie inaczej zagadały koła lokomotywy. Potem koła wagonu pocztowego, który jechał zaraz za nią. Potem koła wagonu bagażowego, który jechał zaraz za wagonem pocztowym. Potem koła pierwszego wagonu osobowego. Potem koła drugiego. Potem koła trzeciego. Aż wreszcie wszystkie koła wszystkich wagonów gadały tak, jakby nagle straciły głos albo dostały chrypki. Pociąg wjechał w tunel.

Dwa cienie w przedziale Ferdynanda natychmiast znalazły się obok niego. Szybkimi, wprawnymi ruchami zaczęły zdejmować z niego to, co miał na sobie.

- Najpierw zdejmuj kapelusz - rozległ się szept. - Żeby nie przeszkadzał.

- Już.

- Teraz buty.

- Już.

- Teraz krawat.

- Już.

- Teraz marynarkę.

- Już.

- Teraz kamizelkę.

- Już.

- Teraz koszulę.

- Już.

- Teraz spodnie.

- Zaraz, zaraz, już.

- Wszystko?

:\_\_

- Wszystko.

- No to wiejmy!

- Chwileczkę!!! - powiedział Ferdynand, który od dawna nie spał i czuł, jak go rozbierają. - Chwileczkę!!! Nie tak prędko!!! Porozmawiajmy sobie trochę.

I zaszczekał tak straszliwie, jak jeszcze nigdy nie zaszczekał żaden pies na świecie.

Pod tymi w cyklistówkach ze strachu ugięły się nogi. Rzucili wszystko to, co z Ferdynanda pozdejmowali, i korzystając z panujących w przedziale ciemności, usiłowali czmychnąć.

Ferdynand jednak był szybszy. Podskoczył i złapał zębami za ucho najpierw jednego, a potem drugiego. Zrobił to tak sprytnie, że każde ucho trzymał z innej strony. Z lewej strony zwisała jedna cyklistówka, a z prawej druga.

Trzymając mocno w zębach ich uszy, Ferdynand nie mógł powiedzieć ani słowa, warczał więc tylko z wściekłości w jakimś na pół zrozumiałym języku:

- Awrr wywrr stawrrsznewrr złowrrrdziewrrjaszwwrkiwrr! Zachwrrciawrrłowrr sięwrr wamwrr mowrrichwrr rzewrrczywrr, cowrr? Jawrr wamwrr powrrkawrrżewrr!

Właśnie tunel się skończył, a zaraz za nim była stacja. Pociąg zaczął zwalniać i po paru sekundach, sapiąc z wysiłku, zatrzymał się przy peronie. Ferdynand wychylił się przez okno; cały czas trzymając w zębach uszy złodziei.

- Bawrrgawrrżowrrwywrrrrrr! - zawołał.

Ale żaden bagażowy nie zwrócił nawet na to uwagi.

- Bawrrgawrrżowrrwywrrrrrr! - zawołał jeszcze raz.

Znowu bez rezultatu. Bagażowi biegali po peronie we wszystkie strony, ale żaden nie zatrzymał się przed oknem Ferdynanda.

- Bawrrgawrrrżowrrwyrrrrrr! - powtórzył jeszcze raz Ferdynand i na szczęście usłyszał to jakiś pan, który przystanął i chwilę pomyślał.  
- Zdaje się, że chodzi panu o bagażowego - powiedział ten pan. - Czy pan ma może katar?  
Ferdynand kiwnął głową, że nie, że nie ma kataru, i wtedy ten pan zobaczył dwie dyndające głowy złodziejasków.  
- Aha - powiedział - rozumiem.  
I posłał Ferdynandowi dwóch bagażowych.  
Jeden bagażowy wziął jednego złodzieja, a drugi drugiego. Obaj oni byli tak przerażeni, że nie byli w stanie iść o własnych siłach. Pomiędzy bagażowymi, rozebrany do naga, niosący jako dowód rzeczowy całe swoje ubranie, szedł Ferdynand i groźnie szczyrzył kły, na wypadek, gdyby któremuś ze złodziei przyszła ochota do ucieczki.  
- Idziemy na komisariat! - powiedział krótko.

## Xviii

- Nazwisko? - zapytał Ferdynanda komisarz.  
- Wspaniały - odparł Ferdynand.  
- Imię?  
- Ferdynand.  
- Wiek?  
Ferdynand nie wiedział, co powiedzieć. Bał się, że jeśli powie prawdę, to komisarzowi będzie się to wydawało podejrzane, a jeśli powie więcej, to po pierwsze skłamanie, a po drugie, nieładnie jest uchodzić za starszego, niż się jest w istocie.  
- Wiek? - powtórzył komisarz.  
Komisarz miał niesłychanie surowy głos i groźne wąsy. Jeszcze ani razu nie popatrzył na Ferdynanda. Zadawał pytania i notował coś na karteczce nie odrywając oczu od biurka, przed którym stał drżący z zimna Ferdynand.  
Brnpld pięć! - powiedział Ferdynand, bo doszedł do wniosku, że coś musi powiedzieć.  
- Doskonale - odparł na to komisarz i zupełnie nie zwrócił uwagi na dziwną bądź co bądź liczbę wymienioną przez Ferdynanda. - Czy nic panu nie zginęło?  
- Nic.  
- Miał pan przy sobie jakieś kosztowności?  
- Nie, nie miałem - powiedział w pierwszej chwili Ferdynand. Ale zastanowił się i przypomniał sobie o medalu. - Bardzo przepraszam pana komisarza, zapomniałem o jednej rzeczy. Tak jest, miałem przy sobie pewien cenny przedmiot...  
- Cóż to było takiego? - spytał komisarz, ciągle coś notując.  
- Medal - odparł Ferdynand. - Złoty medal.  
- Czy to był pański medal?  
- Tak jest, mój.  
- Można wiedzieć, gdzie go pan zdobył?  
- Na Wystawie Psów.  
- A więc interesuje się pan psami?  
- Od czasu do czasu, panie komisarzu - odparł Ferdynand, który już odzyskał normalną pewność siebie.  
- Nie skradziono panu przypadkiem tego medalu? - zapytał komisarz.  
- Chwileczkę, panie komisarzu, muszę sprawdzić.  
- Proszę, niech pan sprawdza.  
Nagi Ferdynand zaczął grzebać po kieszeniach swojej garderoby.  
- Tu nie ma, tu nie ma, tu nie ma, tu nie ma, tu nie ma, tu nie ma, tu nie ma i tu nie ma. Zaraz, tu jest jeszcze jedna kieszeń... Nie, tu także nie ma. Panie komisarzu, skradziono mi mój medal.  
- Proszę się nie martwić - powiedział stanowczo komisarz. - Zrobimy wszystko, aby zwrócić panu pański medal. Niech pan tutaj zostanie, a ja pójdę i porozmawiam sobie z przestępcami.

I nie spojrzawszy nawet na Ferdynanda, komisarz wyszedł z pokoju.

Ferdynand czekał cierpliwie na jego powrót. Było mu jednak coraz zimniej. W końcu zaczął sobie myśleć tak:

``Po co ja mam marznąć nikt nawet nie zauważa że jestem nagi ani nie patrzą na dowody rzeczowe ani na nic że to ja złapałem tych złodziei kiedy mnie rozebrali w tym tunelu ale to widocznie jest niepotrzebne a ja myślałem że to trzeba tak jak było żeby nie było wątpliwości że to oni mnie rozebrali i chcieli zabrać moje ubranie to wobec tego ja je na siebie włożę bo zawsze będzie mi cieplej w ubraniu niż bez ubrania no nie...''

I Ferdynand powoli zaczął się ubierać. Właśnie skończył wiązać krawat, kiedy do pokoju wszedł ponownie komisarz.

- Muszę panu pogratulować, panie Wspaniały! - krzyczał już od drzwi. - Dzięki panu schwytailiśmy dwóch groźnych złodziejasków. Wspaniale pan się spisał, panie Wspaniały!

Ferdynand skromnie spuścił oczy.

- Nic takiego, panie komisarzu...

- O, niech pan tak nie mówi - zaprotestował komisarz. - To nadzwyczajne!

- Doprawdy, drobnostka... - szepnął Ferdynand.

- Jestem dumny z pana!

- No cóż - mruknął Ferdynand - udało mi się ich złapać, i tyle.

- Dzielnie pan to zrobił, panie Wspaniały, doprawdy dzielnie. Niestety, mam dla pana również i mniej przyjemną nowinę.

- Co się stało, panie komisarzu? - zapytał zaniepokojony Ferdynand.

- Nie ma pańskiego medalu.

- Nie ma?

- Nie ma.

- Ojej! - jęknął Ferdynand.

- Mówią, że go w ogóle nie widzieli.

- Ojej!

- Że nie przypominają sobie czegoś takiego.

- Ojej!

- Że pewnie pan wcale żadnego medalu nie miał.

- Ojej!

- Że gdyby pan miał medal, toby go wzięli przede wszystkim.

- Ojej!

- Że przeszukali panu wszystkie kieszenie...

- Ojej!

- I w żadnej nie było żadnego medalu...

- Ojej!

- Przykro mi, że pan tak rozpacza - powiedział ze współczuciem komisarz.

- Ojej, panie komisarzu, ja wcale nie rozpaczam - jęknął Ferdynand.

- A co?

- Ja się, panie komisarzu, boję. Ojej!

- Czego pan się boi, panie Wspaniały, proszę mi powiedzieć, czego pan się boi?

- Pana się boję, panie komisarzu, ojej!

- Mnie?

- Tak, pana! Ojej!

- A dlaczego pan się mnie boi?

- Boję się, ojej, żeby pan mnie nie zamknął do więzienia.

- A za co ja mam pana zamknąć do więzienia? - zapytał nieco rozbawiony tym wszystkim komisarz.

- Za ten medal, panie komisarzu, ojej, ojej, ojej. Za ten medal...

- Nic nie rozumiem - powiedział komisarz.

- Wprowadziłem pana w błąd, panie komisarzu, ojej!

- Dalej nic nie rozumiem...

- Ten medal, panie komisarzu, ja mam przy sobie. Teraz mi się to dopiero, ojej, przypomniało. Szukałem go po wszystkich kieszeniach i złodzieje szukali go po wszystkich kieszeniach, ojej, i nie było go. A teraz mi się dopiero przypomniało, że ja mam go, ojej, na szyi. Niech pan mi powie, panie komisarzu, ile?...  
- Co ile? - spytał komisarz.  
- Ile za to? - lękliwie dopytywał się Ferdynand.  
- Za co?  
- Za to wprowadzenie w błąd, ile lat?  
- Postaramy się o tym zapomnieć - powiedział z uśmiechem komisarz. - Najważniejsze, że pański medal, pański złoty medal, znajduje się w pana posiadaniu. Panie Ferdynandzie, gdzie pan pędzi? Ferdynand był już przy drzwiach. Odwrócił się i krzyknął:  
- Zaraz wrócę, panie komisarzu. Muszę tylko przeprosić złodziei za to, że ich posadziłem o kradzież.

## Xix

Po tych wszystkich strasznych przeżyciach Ferdynand poszedł sobie do parku, żeby trochę ochłonać. Usiadł na ławeczce pod ogromnym kasztanem, założył nogę na nogę, rozparł się wygodnie i najzwyczajniej w świecie przestał myśleć. Patrzył tylko na chmurki, które przesuwały się wysoko na niebie, słuchał ptaszków śpiewających na gałęziach i było mu bardzo, bardzo przyjemnie.

Miał masę czasu.

Nigdzie mu się nie spieszyło ani nie miał nic do załatwienia. Ze spokojnym sumieniem siedział na ławce i wypoczywał.

Nagle, oblizując się podświadomie na widok chłopca liżącego lody, poczuł, że coś jest nie w porządku. Że jest inaczej, niż było. Że coś się zmieniło.

Początkowo nie przywiązywał do tego zbyt wielkiej wagi, ale gdy się oblizał po raz drugi, zrobiło mu się nieswojo.

Sprawdził jeszcze raz językiem. Tak. Miał rację. Było zupełnie inaczej niż przedtem. Po chwili sprawdził jeszcze raz. Niestety, to była prawda. Znów dotknął językiem. Tak, tak, coś strasznego. I odtąd nie mógł się już powstrzymać, żeby co sekundę albo nawet co pół sekundy nie dotykać językiem nadkruszonego zęba.

Tak go ta czynność pochłonęła, że nie zauważył nawet, kiedy obok niego na ławce usiadła jakaś pani.

Pani krótki czas czytała gazetę, potem ją starannie złożyła, schowała do torebki i spojrzała na Ferdynanda. Ferdynand bez przerwy końcem języka dotykał czubka ukruszonego zęba. Pani przyglądała mu się z zaciekawieniem.

„Jakiś strasnie śmieszny pan - pomyślała sobie. Sepleniała tak okropnie, że nawet sepleniała w myślach, co jak wiadomo, jest objawem niesłychanie rzadkim. - Cego on tak tym językiem wywija?”

A głośno dodała:

- Bardzo pana psepraszam, cy panu się coś stało?

Ferdynand drgnął, jakby go wyrwano z głębokiego snu. Spojrzał na panią, ukłonił się grzecznie melonikiem i powiedział:

- Właściwie, łaskawa pani, to nic mi nie dolega. Czuję się znakomicie, tyle tylko, że...

Nie zdążył dokończyć, bo pani mu przerwała.

- Otóż to! - zawołała - otóż to! Już wiem, co panu dolega. Ząbeczek!

- W pewnym sensie tak - powiedział Ferdynand.

- Cy boli? - zapytała pani.

- Nie, proszę pani, nie boli.

- O, to ciekawe! Najgorse są te, co nie bolą. Najpierw nie bolą, nie bolą, a potem nagle jak zabolą, to bolą i bolą. Niech pan mi wiezy.

- Kiedy w tym wypadku chodzi o coś zupełnie innego. Prawdę mówiąc, zęby mam znakomite.
- Wszyscy tak mówią, proszę pana, wszyscy.
- Oświadczam pani, że jeśli idzie o mnie, to naprawdę mam bardzo dobre zęby.
- No to cym się pan martwi?
- Ukruszył mi się kawałek, zęba.
- I pan mówi, że ma pan bardzo dobre zęby! Dobrze zęby się nie kruszą, proszę pana.
- Czasami najlepszy nawet ząb nie wytrzyma i ukruszy się.
- A od czegoż to panu ukruszył się ten ząbeczek?
- Właśnie nie wiem - powiedział Ferdynand. - Sam się nad tym zastanawiam i nie wiem, w jaki sposób go ukruszyłem.
- Może na skórce od chleba?
- Nie.
- Może jadł pan twardy befstyk?
- Nie.
- Może w ciastku był kawałek drutu?
- Nie.
- Może w kielbasce była chsąstecka?
- To nie groźne.
- No, jak dla kogo - powiedziała pani. — Ja cternaście lat temu wstec złamałam sobie ząb właśnie na kielbasie, proszę pana.
- Kiedy nie jadłem ostatnio kielbasy.
- Wszystko jedno, czy jadł pan, czy nie jadł pan - tseba iść do dentysty! Inaczej nie będzie pan miał spokoju. Dobrze panu radzę.
- Chyba pójdę - powiedział Ferdynand. - Tylko żadnego nie znam.
- Zaraz panu dam adres. Mieszka niedaleko stąd. Nazywa się doktor Diwro. Zobaczy pan, jaki psyjemny człowiek. A swoją drogą ciekawe, od czego ten ząb się panu ukruszył?
- Już wiem od czego! - wrzasnął triumfalnie Ferdynand. - Od złodziei, proszę pani, od złodziei!
- Pseprasam bardzo - powiedziała pani. - Czy pan chce pses to powiedzieć, że jadł pan ostatnio złodziei??
- Jeść nie jadium, ale ich złapałem! - zawołał dumnie Ferdynand.
- Zębami? - spytała z niedowierzaniem pani.
- Tak, proszę pani, właśnie zębami. Dwóch ich było, więc nic dziwnego, że ząb nie wytrzymał i trochę się ukruszył.
- Zec całkiem możliwa - powiedziała pani, ostrożnie się wycofując. Wiedziała, że wariatom nie należy się sprzeciwiać. - Niech pan idzie koniecznie do doktora Diwro, zegnamię pana, bardzo mi psykro, ale muszę już iść.

A w myśli dodała:

``Tseba szybko uciekać, bo to strasny jakiś wariat, jesse mi zrobi jaką ksywdę i co wtedy będzie...''  
 Oddalała się szybko od ławki, na której spoczywał Ferdynand, a myśli seplenily w jej głowie jak nigdy jeszcze dotąd.

Ferdynand został sam.

``Chyba pójdę do tego dentysty - pomyślał sobie, łapiąc się co chwila na tym, że końcem języka dotyka ułamanego zęba. - Przecież nie mogę całe życie tak dotykać tego zęba i dotykać. Może dentysta coś mi na to pomoże. Raz, dwa, trzy! Wstawaj Ferdynandzie. Idziemy do doktora Diwro''.  
 Doktor Diwro był bardzo miłym człowiekiem, wszyscy go w mieście znali, więc Ferdynand bardzo łatwo do niego trafił.

W poczekalni pełno było ludzi. Ferdynand usiadł sobie na jedynym wolnym krzeselku, jakie jeszcze stało pod ścianą. Wszyscy wyglądali niesłychanie poważnie. Nikt się nie uśmiechał, nikt nie żartował, nikt nie opowiadał żadnych dowcipów. Wszyscy myśleli tylko o jednym: o tym, co się dzieje tam za tymi drzwiami, za którymi urzędował doktor Diwro i za które oni wcześniej czy później będą musieli wejść.

Ferdynand pierwszy raz w życiu był w poczekalni dentysty. Starał się zachować powagę, ale w



gruncie rzeczy okropnie mu się chciało śmiać z tych przerażonych min. Jeszcze nigdy nie widział tylu poważnych ludzi naraz. ``Trzeba coś z tym zrobić - pomyślał sobie. - Nie lubię smutnych ludzi".

W ciszy, która wypełniała poczekalnię, rozległ się nagle głos Ferdynanda:

- Czy umie pan dawać łapę?

Pytanie skierowane było do starszego pana, który siedział obok Ferdynanda. Pan wyglądał na profesora albo na dyrektora, albo nawet na prezesa.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi - powiedział pan z powagą.

- Chodzi mi o dawanie łapy. Ja na przykład - powiedział Ferdynand - umiem dawać i jedną, i drugą.

- To niech pan sobie daje.

- To nie jest takie proste, proszę pana. Nie można sobie dać łapy. Łapę można dać komuś. Ja mogę panu dać łapę, a pan może dać mnie.

Pacjenci zebrani w poczekalni zaczęli się uśmiechać.

- Oto moja łapa - powiedział Ferdynand. - A teraz niech pan mi da swoją.

Starszy pan ociągając się wyciągnął rękę w stronę Ferdynanda.

- Ma pan.

- Doskonale! - zawołał Ferdynand. - Ślicznie pan daje łapę. A teraz niech pan poda tamtej pani.

I rycząc ze śmiechu wszyscy w poczekalni zaczęli sobie nawzajem podawać łapy.

Kiedy doktor Diwro otworzył drzwi gabinetu, żeby zawołać: ``Następny, proszę!" zobaczył tłum rozbawionych ludzi. Pośrodku na podłodze siedział jakiś nowy, nie znany mu pacjent i udawał psa, który usiłuje służyć, ale nie bardzo mu to wychodziło.

Xx

Co kilka lub kilkanaście minut doktor Diwro otwierał drzwi i mówił: ``Następny, proszę!"

W poczekalni było coraz mniej osób.

W końcu zostali tylko we dwóch: Ferdynand i ten starszy pan, który wyglądał na profesora albo coś w tym rodzaju.

Starszy pan zdążył już polubić Ferdynanda i bardzo był z tej znajomości zadowolony, bo dzięki niemu szybko zleciał mu czas w poczekalni u dentysty.

- Teraz pan... - powiedział Ferdynand.

- Co ja? - zapytał starszy pan.

- Pan teraz pójdzie.

- Właśnie - przytaknął starszy pan. - Chyba że pan chce iść przede mną?...

- Ja? - zapytał ociągając się Ferdynand.

- Pan, pan!

- Ale przecież pan był pierwszy - powiedział chytrze Ferdynand.

- Nic nie szkodzi. Mnie się nie spieszy.

- Mnie też nie.

- Tak pana polubiłem - powiedział starszy pan - że chętnie puszczę pana przed sobą.

- Nigdy bym się nie ośmielił zajmować panu pańskie miejsce - odrzekł Ferdynand.

- Może pan spokojnie zajmować, proszę pana, ja sobie tutaj poczekam i pójdę po pana.

- Nie, nie, nie! - powiedział Ferdynand. - To ja po pana pójdę.

- A zresztą, wszystko jedno - powiedział starszy pan. - Tak czy tak, musimy ostatecznie wejść tam, za te drzwi, i usiąść na tym strasznym fotelu, i otworzyć usta, i czekać, aż nam tam okropnym świdrem zaczną wiercić w zębie. Inaczej mogłoby z nami być to samo, co z panem Jarząbkim.

- Z jakim panem Jarząbkim? - zapytał Ferdynand z przerażeniem w oczach.

- Nie zna pan tej historii?

- Nie znam - powiedział Ferdynand.

- Historia pana Jarzabka jest sławna i wielce pouczająca - powiedział starszy pan. - Dowodzi ona mianowicie, jak niezbędną rzeczą jest regularne chodzenie do dentysty. Niech pan słucha:

\\

Był raz sobie pan Jarząbek,@ pan Jarząbek,@ pan Jarząbek,@ rozbolał go w nocy ząbek,@ w nocy ząbek,@ hej!@

\\

Twarz mu spuchła jak ta bania,@ jak ta bania,@ jak ta bania,@ rano nie mógł jeść śniadania,@ jeść śniadania,@ hej!@

\\

Poszedł prosto do dentysty,@ do dentysty,@ do dentysty,@ dentysta wdział fartuch czysty,@ fartuch czysty,@ hej!@

\\

- Niech pan siada w foteliku,@ w foteliku,@ w foteliku,@ ząb wyrwiemy i po krzyku,@ i po krzyku,@ hej!@

\\

- Nie! - zawołał pan Jarząbek,@ pan Jarząbek,@ pan Jarząbek,@ - to jest mój ostatni ząbek,@ niech pan mi go zostawi na pamiątkę@ panie doktorze,@ hej!@

\\

- Z tego wynika - powiedział Ferdynand - że pan Jarząbek poszedł po raz pierwszy w życiu do dentysty dopiero wtedy, kiedy zabolął go ostatni ząb.

- Doskonale pan to ujął - powiedział starszy pan.

- A pan ile razy w swoim życiu był u dentysty? - zapytał Ferdynand.

- Może sto, a może więcej - odparł starszy pan.

- Ho, ho, ho! - mruknął z podziwem Ferdynand.

- A pan? - zapytał z kolei starszy pan.

- Ja... ja... o, niejednokrotnie bywałem, oczywiście, ale dokładnej liczby nie jestem w stanie panu podać - powiedział niedbale Ferdynand.

Myślicie, że kłamał? Wcale nie. Rzeczywiście Ferdynand był parę razy u dentysty, ale nie w sprawie swoich zębów, lecz w związku z zębami swego pana. To znaczy (żeby nie było żadnych nieporozumień), kilkakrotnie pan, idąc do dentysty, brał go ze sobą.

- Słusznie pan czyni, że dba pan tak o swoje uzębienie - powiedział starszy pan.

- Co mam robić - powiedział skromnie Ferdynand. - Moje zęby to mój cały skarb.

Starszy pan spojrzał na Ferdynanda z większym zainteresowaniem.

- Już wiem! - zawołał. - Pan z pewnością jest artystą.

Ferdynand nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie ulegało wątpliwości, że w głębi duszy czuł się artystą, ale przecież nie mógł tego tak otwarcie powiedzieć. Na szczęście wybawił go z opresji doktor Diwro, który znów się zjawił w swoim białym fartuchu w otwartych drzwiach i powiedział: "Następny, proszę!"

Starszy pan uśmiechnął się serdecznie do Ferdynanda i kiwając mu na pożegnanie ręką, zniknął za drzwiami gabinetu.

Ferdynand został w poczekalni sam. Na stole leżał cały stos kolorowych czasopism. Dla zabicia czasu Ferdynand zaczął je przerzucać, a przerzucając myślał sobie tak:

"Teraz już nie ma innego wyjścia nadeszła moja kolejka ja będę teraz cierpieć na tym strasznym fotelu nikogo nie ma przede mną ale trudno raz kozie śmierć muszę przecież naprawdę dbać o moje zęby inaczej nie potrafię rozgryźć najgłupszej nawet kości nic nic i jeszcze raz nic życie bez kości nie jest żadną przyjemnością a jeśli będzie bardzo boleć mogę jeszcze dać nogę ucieknę i już nikt mnie nie zna a potem będzie tak jak z panem Jarząbkim..."

I Ferdynand zaczął śpiewać piosenkę, której nauczył się od starszego pana.

\\

"Był raz sobie pan Jarząbek,@ pan Jarząbek,@ pan Jarząbek,@ rozbolał go w nocy ząbek,@ w nocy ząbek,@ hej!@

Xxi

- Proszę uprzejmie do gabinetu! - powiedział doktor Diwro otwierając drzwi. Ferdynand podniósł

się z krzeselka.

- Jestem do pańskiej dyspozycji, panie doktorze.
- Witam pana serdecznie - powiedział doktor Diwro.
- Z prawdziwą przyjemnością zostaję pańskim pacjentem - powiedział Ferdynand.
- Będzie mi niewymownie miło zająć się pańskimi ząbkami - powiedział doktor Diwro.
- Wszystkie moje ząbki są do pańskiej dyspozycji, panie doktorze - powiedział Ferdynand.
- Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby ząbkom szanownego pana nie sprawić zbyt wielkiej przykrości - powiedział doktor Diwro.
- Z całą ufnością oddaję moje ząbki w ręczki pana doktora - powiedział Ferdynand.
- Mam nadzieję, że ręczki moje nie zawiodą ufności pańskich ząbków - powiedział doktor Diwro.
- Cieszę się, że mamy identyczny pogląd na tę sprawę - powiedział Ferdynand.
- Ja także się z tego cieszę - powiedział doktor Diwro.
- To znakomicie! - zawołał Ferdynand. - Wobec tego cieszymy się razem.

I złapawszy za ręce doktora Diwro, zaczął się z nim kręcić w kółko, zupełnie jakby tańczył walca. Doktorowi tak się to podobało, że z radości mocno przytupywał nogami, chociaż, prawdę mówiąc, w walcu przytupywać nie należy. Beztrąsko wirując wtoczyli się tanecznym krokiem do gabinetu. Zatrzymali się zziębnięci na środku pokoju. Na skutek kręcenia się w jedną stronę, wszystko zaczęło im migać przed oczami. Doktor Diwro nie mógł tego wytrzymać i przysiadł na brzeжку krzeselka.

- Ojejeje! - wołał. - Ale mi się kręci w głowie! Ojejeje!

Ferdynand natomiast stał na chwiejących się nogach i z prawdziwą przyjemnością stwierdził, że raz widzi fotel dentystyczny, raz szafę z narzędziami, raz doktora Diwro przycupniętego na brzeжку krzeselka, raz maszynę do wiercenia w zębach i znów od nowa fotel, szafę, doktora, maszynę i jeszcze raz fotel, szafę, doktora, maszynę i tak w kółko, i w kółko, tyle, że coraz to wolniej i wolniej. Wreszcie wszystko wróciło na swoje miejsce.

- To było wspaniałe! - powiedział Ferdynand. - Pierwszy raz w życiu kręciło mi się w głowie.  
- Co pan powie? - zawołał z niedowierzaniem doktor. - Naprawdę nigdy przedtem nie zakręciło się panu w głowie? Nigdy nie kręcił się pan w kółko?

- Nigdy - powiedział Ferdynand. Ale zaraz przypomniało mu się, że nieraz kręcił się w kółko, usiłując złapać własny ogon. - To znaczy, nigdy nie kręciłem się w kółko na dwóch nogach. Nieraz kręciłem się na czworakach, ale zapewniam pana, że to całkiem co innego.

Doktor Diwro spojrzał podejrzliwie na Ferdynanda, nie wyrzekł jednak ani jednego słowa powątpiewania. Ostatecznie od takiego kręcenia się w kółko mogło mu się coś pokręcić.

- Tak, tak, oczywiście, to zupełnie co innego - powiedział. - A teraz może zechce pan zająć miejsce na fotelu.

Ferdynand usiadł.

- Proszę łaskawie otworzyć usta.

Ferdynand otworzył.

Doktor Diwro zajrzał do środka.

- Fiuuuuu, fiuuuuu - powiedział z podziwem. - Dawno nie widziałem tak wspaniałego uzębienia.

- Spławia mi pan doktoł prawdziwą przyjemność - powiedział Ferdynand jak mógł najwyraźniej.

Ale spróbujcie mówić wyraźnie, kiedy dentysta trzyma wam w otwartych ustach obie swoje dłonie.

- Ja tutaj nic nie widzę - powiedział doktor Diwro. - Ciekaw jestem, co pana do mnie sprowadziło.

- Odnoszę, płoszę pana doktoła, takie włazenie, że ukłuszył mi się kawałek zęba - powiedział Ferdynand.

- Któryż to?

- Długi od końca po prawej stronie - powiedział Ferdynand.

- Zaraz to zbadamy - powiedział doktor Diwro i zaczął szczegółowo oglądać drugi ząb od końca, po prawej stronie. - Istotnie, jest tutaj pewien ubytek, ale tak nieznaczny, że praktycznie rzecz biorąc nie ma to żadnego znaczenia.

- Płaktycznie, nie płaktycznie - powiedział Ferdynand - chcę mieć zęby w porządku, to mój największy skałb.

- Niewątpliwie, niewątpliwie - powiedział doktor Diwro.

- Muszę mieć czym głyźć - powiedział Ferdynand.
- Oczywiście, oczywiście - powiedział doktor Diwro. - Dobre gryzienie jest podstawą zdrowia.
- Kto dobrze głyzie, tego się boją - dodał Ferdynand i na dowód ścisnął delikatnie obie szczęki.
- Ajajaj! - krzyknął doktor Diwro i szybko wyrwał obie dłonie spomiędzy zębów Ferdynanda.
- No więc jak, panie doktorze? - zapytał Ferdynand.
- Trzeba by coś zrobić - powiedział doktor.
- Ale co?
- Może założyć koronę?
- Koronę? - zdziwił się Ferdynand. - Przecież nie jestem królem.
- Myślę o koronie na ząb, a nie na głowę - powiedział doktor Diwro oschłym tonem.
- Niech będzie na ząb, mnie jest wszystko jedno - oświadczył Ferdynand.
- A ma pan złoto?
- Jakie złoto?
- Na koronę. Wie pan chyba, że korony robi się ze złota.
- Coś o tym słyszałem - powiedział Ferdynand. - Czy może być medal?
- Chciał pan pewnie powiedzieć: metal. Owszem, można zrobić koronę z medalu, ale to nie będzie to - powiedział doktor Diwro.
- Pan mnie nie zrozumiał, panie doktorze. Mnie chodzi o koronę z medalu...
- Z metalu...
- Z medalu...
- Z metalu...

Ferdynand gwałtownym ruchem wyciągnął swój złoty medal, który nosił na szyi.

- A co to jest? - zapytał.
- Medal - odparł doktor Diwro.
- Jaki medal?
- Złoty medal.
- A może to jest metal? - zapytał ironicznie Ferdynand.
- Najmocniej pana przepraszam - powiedział doktor Diwro - to jest rzeczywiście medal, prawdziwy złoty medal, z którego zrobię panu cudowną koronę na pański drugi od końca ząb po prawej stronie.
- Dziękuję panu, o to mi właśnie chodziło.

Ferdynand rozsiadł się wygodnie w fotelu i otworzył usta najszerzej, jak potrafił. Doktor Diwro wyjął z szafki całe pudełko świderków do świdrowania w zębach i zaczął w nim długo grzebać, szukając właściwego świderka. Świderki dźwięczały uderzając jeden o drugi. Był to bardzo nieprzyjemny odgłos. Ferdynand poczuł, że po ciele przebiegają mu raz po raz dreszcze.

- Co pan chce robić? - zapytał zaniepokojony.
- Muszę panu opilować trochę ząb przed założeniem korony - odparł spokojnym głosem doktor Diwro.
- Czy to konieczne?
- Niestety, tak.
- Wobec tego trudno, niech pan wierci - powiedział zrezygnowany Ferdynand.

Doktor Diwro znalazł wreszcie odpowiedni świderek, zamontował go w maszynie do borowania i przekręcił elektryczny kontakt. Maszyna zaczęła brzęczeć i momentalnie to nieprzyjemne brzęczenie wypełniło cały gabinet. Ferdynandowi zrobiło się zimno ze strachu.

- Niech się pan nie boi - powiedział delikatnie doktor Diwro. - Zanim zacznę borować, uspię pana. Nie będzie pan czuł najmniejszego bólu. Kiedy pan się obudzi, będzie już po wszystkim.
- Wziął ze stolika strzykawkę i zrobił Ferdynandowi zastrzyk. Ferdynand zasnął prawie natychmiast. Przez sen słyszał tylko brzęk narzędzi, którymi szybko i sprawnie posługiwał się doktor Diwro...

\\

Kiedy się przebudził, postanowił przez jakiś czas nie otwierać oczu. Ciągle jeszcze słyhać było brzęk narzędzi.

``Widocznie - pomyślał sobie - doktor nie skończył jeszcze swojej pracy. Co prawda, nie czuję zupełnie, żeby mi coś robił koło zębów, ale być może, nie czuję dlatego tylko, że jestem w dalszym

ciągu znieczulony. Gdy skończy, na pewno mnie o tym zawiadomi".

I Ferdynand postanowił czekać na głos doktora.

Tymczasem ni stąd, ni zowąd zamiast głosu doktora Diwro usłyszał głos swojego pana:

- Znów się na mnie pchasz, Ferdynand? Czy nie za wiele sobie pozwalasz?

Ferdynand otworzył powoli najpierw jedno oko, potem drugie, i zobaczył, że leży obok swego pana na starej kanapie. Zupełnie nie wiedział, co się dzieje.

- Posuń się, posuń się - mówił pan - nie wypada przecież, żebyś mnie tak spychał.

Ferdynand odsunął się trochę, ale w dalszym ciągu nie był w stanie nic zrozumieć. Przecież wyraźnie słychać brzęk narzędzi doktora Diwro. Chociaż czy to na pewno narzędzia doktora Diwro tak brzęczą? Nic podobnego! To brzęczą w kuchni noże, łyżki i widelce podczas poobiedniego zmywania. ``Nie kłuj!'' - woła łyżka do widelca. ``Uważaj, bo mnie pokaleczysz!'' - zwraca się filiżanka do bardzo ostrego noża. ``Gdzie jest mój mąż spodeczek?'' - krzyczy zrozpaczona szklanka.

``Nie ulega wątpliwości - mruknął do siebie w duchu Ferdynand - że jestem w domu. Leżę na kanapie, obok mnie leży mój pan, obok pana leży gazeta, w kuchni rozmawiają ze sobą talerze i nakrycia i wszystko jest tak, jak było zawsze. A gdzie jest doktor Diwro? Nie ma żadnego doktora Diwro. A złota korona na zębie? Nie ma żadnej złotej korony. Chwileczkę... Który to był ząb? Drugi od końca, po prawej stronie. Co mi szkodzi sprawdzić...''

Koniuszkiem języka Ferdynand zaczął sprawdzać ząb za zębem.

- Jeeeest! - wrzasnął nagle i zeskoczył z kanapy na podłogę. We wnętrzu kanapy odezwały się sprężyny:

``Drim!''

``Giam!''

``Brdek!''

- Jeeeest! - powtórzył Ferdynand i zaczął jak szalony skakać po pokoju. Na drugim zębie od końca, po prawej stronie, czuł pod językiem wspaniałą złotą koronę! Podbiegł do pana i, żeby się nią pochwalić, szeroko otworzył pysk.

- Czego tak na mnie szczerzysz te swoje zębiska? Zwariowałeś pewnie, Ferdynand! - powiedział pan obojętnym głosem i zamiast podziwiać złotą koronę, wsadził nos w gazetę.

``Nie, to nie - pomyślał sobie Ferdynand - może inni się na tym poznają''.

Ale z innymi jest jeszcze gorzej. Ilekroć Ferdynand otwiera pysk, żeby pokazać swoją wspaniałą złotą koronę na drugim zębie od końca, po prawej stronie, ludzie natychmiast zaczynają się cofać, a pan zaraz woła:

- Tylko spokojnie, Ferdynand, tylko spokojnie!

Żeby nie uchodzić za złego psa, Ferdynand coraz rzadziej otwiera pysk, tak że o tej złotej koronie i o tym wszystkim, co działo się przedtem, wiemy jak dotąd tylko my dwaj - Ferdynand i ja.

Ludwik Jerzy Kern urodził się w 1921 roku w Łodzi. Jest pisarzem, poetą, autorem tekstów piosenek, satyrykiem, tłumaczem. Znaczną część jego twórczości stanowią utwory dla dzieci i młodzieży, za które w 1972 roku otrzymał Order Uśmiechu, a w roku 1976 Nagrodę Prezesa Rady Ministrów.

Spośród bogatego dorobku literackiego Kerna największą sławę, nie tylko w Polsce, zdobyły m.in. książki: ``Ferdynand Wspaniały'', ``Proszę słońca'', ``Karampuk'', ``Mądra poduszka'', ``Menażeria kapitana Ali'', ``Żyrafa u fotografa''. Na podstawie książek tego autora realizowane są filmy i widowiska teatralne dla dzieci.

``Ferdynand Wspaniały'' to opowieść o psie, który marzy, by stać się człowiekiem. Marzenie to realizuje się we śnie - przemieniony, do człowieka upodobniony Ferdynand przeżywa wiele przygód, ogromnie zabawnych, bo mimo zewnętrznego podobieństwa do ludzi pozostały mu psie przyzwyczajenia i upodobania.

Dalsze perypetie psa Ferdynanda Ludwik Jerzy Kern opisał w książce ``Zbudź się, Ferdynandzie''.  
E. W.